



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Nowy rozbrat z Watykanem. — Ruina drobnej własności p. Sm. — Jesienne listki p. C. N. — Sekularyzacya dobroczynności p. K. D. — Teorya wychowania, oparta na historyi, psychologii, moralności, polityce (podług Gabriela Compayré), I. p. Adolfa Dygasieńskiego. — Niemcy a Germanowie (dokończenie) p. W. Gruszeckiego. — Korespondencya Talleyranda (dokończenie) p. p. J. N. — Korespondencya Prawdy: Z Petersburga (dokończenie) p. R. — Piśmiennictwo polskie: Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki, skreślił Jan Finkelhaus p. A. G. — W perspektywie. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

Od Redakcyi.

Z powodu formalności niektórych bezpłatny dodatek p. t. **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.** I. Brandesa (zeszyt 1-szy) dołączymy nie do obecnego, ale do przyszłego numeru **Prawdy**, a szan. abonenci wybaczyć nam zechcą to drobne opóźnienie. Zarazem przypominamy termin odnowienia kwartalnej przedpłaty, zapobiegając niemożności zadośćuczynienia zbyt spóźnionym żądaniom. Jak zawsze tak i dziś nie popisujemy się z naszą redakcyjną teką, pozwalamy sobie tylko zapowiedzieć kilka prac ciekawych i ważnych. Dzięki rozwiniętym stosunkom pisma, może ono zużytkowywać najlepsze siły, jakie kierunek naukowo-postępowy u nas posiada.

NOWY ROZBRAT Z WATYKANEM.

Ultramontanizm był zabójcą chrześcijaństwa. Zdanie to, w różnych odmianach często powtarzane, wyraża właściwie tę niewątpliwą prawdę, że każda teorya każdy systemat, każde wyznanie nie ginie w walce z przeciwnymi, ale w własnym wynaturzeniu się. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Chrystus zjawił się między nami, nie poznałby wielu doktryn, które się na niego powołują i wyparłyby się tych samych apostołów, którzy za jedynych, najwierniejszych jego uczniów się głoszą. Ponieważ jego nauka zawiera reguły moralne, będące owocem doświadczenia ludzkości i ciągle wykazujące swą wartość, nowoczesna zatem cywilizacya nie z niemi

podjęła i prowadzi walkę, ale z chwastem, który na ich gruncie wyrósł. Mistrz nazarejski z pewnością nie pisałby encyklik, gromiących postęp i pozostałby w daleko większej zgodzie z nim, niż Piusy i Leony, bo mniej wyklinał, a więcej kochał i uczył. Nic też dziwnego, że umysły, przejęte jego duchem ciągle się buntują i wypowiadają posłuszeństwo ciemnej i okrutnej instytucji, która nad ludzkością rozciąga swe cienie, że papizm zabija chrześcijaństwo, że w łonie katolicyzmu pojawiają się coraz częstsze odstępstwa. Ledwie przebrzmiało echo protestu ks. Curciego, znowu odezwał się głos inny — głos kanonika kapituły Ś-go Piotra, hr. Henryka Campella. Ten dostojnik kościelny, jak sam wyznaje w swym liście publicznym, dziesięć lat usiłował pokonać sumienie, powołujące go do rozbratu z kultem, który uparcie i nieludzko zadaje gwałt najgłębszym przekonaniom i najdroższym uczuciom człowieka. I co mianowicie pobudziło kanonika Campellę do odstępstwa? Obrażona duma lub krzywda osobista? „Wasza Eminencya — pisze do kard. Boromeo — nie przypiszesz mojego postanowienia tajnym pobudkom, niezaspokojonej ambicji, zemście za doznaną niesprawiedliwość. Nie skarżę się na dotychczasowych moich kolegów w kapitule, dla których, bez wyjątku, zachowam przyjazne wspomnienie. Godność kanonika pierwszego kościoła w świecie cenilem tak wysoko, że żadna ambicja nie mogła mi nasunąć żądzy nowych zaszczytów. Po dziesięcioletniej, dojrzałej rozwadze, po nieskończonych walkach i rozczerowaniach, mogę dziś przysiąc przed Bogiem i Chrystusem, którzy nas sędzić będą, że poważny ten krok czynię bez wszelkiej myśli ubocznej dla uspokojenia mojego sumienia, co poświadczyć mogą znakomitsi duchowni, z którymi prowadziłem długie, poufne rozmowy. Wiem dobrze, że opłacane przez

Watykan i gospodarującą w nim kamarylę dzienniki najokrutniej prześladować mi będą; ale wiem także, że postępowanie podobne oddawna zyskało powszechną pogardę. Odpowiem przeto jedynie milczeniem i modlitwą, ażeby Bóg użył mi wielu naśladowców wśród tych, którzy podobnie jak ja, oszukani za młodu, później terroryzowani przez systemat niegodny, wloką w życiu z trudem kajdany własnej niewoli, którzy nie mogą uprzystępnąć sobie światła nauki i znieść ciągłych rozczerowań, bolesnego przygnębienia, najgorszego ucisku. Co do mnie, tylko spokój grobu uwolni mnie od walki zewnętrznej i wewnętrznej. Błoga nieśmiertelność wynagrodzi mi niewypowiedziane troski, jakimi mnie życie obdarzyło.“

I jakież to są „kajdany“, o których wspomina, a których znieść nie mógł kanonik Campello? Zdławione prawa człowieka i państwa. „Gdy papieżem został Pecci, spodziewano się lepszej przyszłości dla kościoła i ojczyzny. Nadzieja została zawiedziona. Dzisiaj czynię zadość jako chrześcijanin i obywatel nieprzepartemu obowiązowi mojemu. Sumienie zabrania mi należeć dłużej do instytucji, która swych kapłanów oddziela od społeczeństwa cywilnego, jak kastę indyjską. Rzucona niedawno na książkę Curciego kłątwa, która zarazem zniweczyła wszelkie nadzieje, pokładane w nowym papieżu, dowiodła, że wśród kościoła nienawiść stronnictwa usunąć się nie daje, pomimo że dzieje uczą, iż podobne potępienia silniej godzą w sędziów aniżeli w skazanych, dla których bywają raczej zaszczytem. Podobne rzeczy wszelako dowodzą, że kościół został najgorszym z pomiędzy tyranów; niezadowolniony prostym milczeniem, usiłuje stłumić głosy prześladowanych. Najnowsze kłątwy dowodzą nazbyt widocznie, że kilkowiekowa walka nigdy nie ustanie; że niemożliwe

jest jakiegokolwiek pojednanie, o którym marzy każdy uczciwy chrześcjanin i obywatel. Jeżeli zatem niemasz pojednania z powodu uporu głowy katolicyzmu, uporu narzuconego przez systemat, wyzyskujący naukę Chrystusa z nieograniczoną chciwością; jeżeli zatem pomimo braku przekonujących dowodów, duchowienstwo prowadzi dalej walkę z uporu, bez względu na zło społeczne, które on wywołuje, bez względu na klęskę idei chrześcijańskiej, którą sprowadza, to należy przyznać, że podobną ślepotę tylko w judaizmie spotkać można. Dowodzi tego ostatnia alocucya Leona XIII, mieszanina obłudy i przesady, któremi we własnym upadku chciano pociągnąć i Włochy do przepaści dla przywrócenia w ten sposób utraconej a z utęsknieniem oczekiwanej i pożądaney władzy świeckiej. Poznanie tego stanu rzeczy usunęło na bok dotychczasowe moje przesady. Opuszczam przeto szeregi kleru rzymskiego, by z dniem dzisiejszym rozpocząć walkę w imię czystej, niesfałszowanej ewangelii Chrystusowej, wierny mym ślubom, dla uspokojenia mojego sumienia i dla tego, ażeby z podniesionem czołem, bez obłudy i bez maski zdrajcy ojczyzny przyznać się mógł, że chrześcjanin i obywatel włoski.

Takie wyznanie złożył kanonik Campello, który w szeregu protestantów katolicyzmu z pewnością nie jest ostatnim. Rozbrat z Watykanem porwie swym prądem inne umysły, dopóki między cywilizacyą a papieżem nie nastąpi tamująca te odstępstwa zgoda, w którą my... nie wierzymy. Jedna z tych potęg musi ustąpić, chyba że ludzkość jest na progu nowych wieków średnich.

RUINA DROBNEJ WŁASNOŚCI.

I.

Drobnej własności w w. księstwie poznańskim niechybna przy obecnych stosunkach grozi ruina. Gdy w roku 1823 znajdowało się w księstwie gospodarstw sprzężajnych 48,068 z 3,441,810 morgami

ziemi, w r. 1880 było ich tylko 39,389 z 3,292,992 morgami; gdy gospodarstw bez sprzężaju statystyka z r. 1859 wykazała 33,960 z 298,000 morg, w r. 1880 znalazła ich 44,470 na 522,642 morgach. W przeciągu lat pięćdziesięciu siedmiu ubyło gospodarstw włościańskim 100,000 morg, do folwarków przyłączonych na zawsze, a liczba gospodarstw bez sprzężaju przez parcelacyę sprzężajnych powiększyła się znacznie.

Zjawisko powyższe ze sposobem, w jaki rząd pruski zaprowadził w księstwie reformę włościańską, w związku zostaje ścisłym i przewidzianem było oddawna.

Regulacya stosunków włościańskich, na zasadzie prawa z d. 8 kwietnia 1823 r. po dwudziestu dwóch latach pracy tak zwanych *komisji generalnych* ukończona w r. 1845, w początkach rezultaty tak materialne, jak i moralne zapowiadała świetne. Skutkiem zniesienia pańszczyzny włościanin pracę swoją nateżył, podwoił starania około uprawy roli i utrzymania w porządku budynków; uwolniony z pod opieki dziedzica, nabierał poczucia osobistej godności, kształcił w sobie przezorność i pewność istnienia o własnych siłach. Rządowi pruskiemu chodziło o wytworzenie klasy włościan właścicieli i rzeczywiście takową dzwignął; lecz czy dzwigniętej przyszłość zapewnił trwałą? czy jej istnieniem zagwarantował dobrobyt ogólny?

Wyszedszy ze stosunków pańszczyźnianych nieudolnym i ciemnym, włościanin, pozostawiony własnym swym siłom, rady sobie dać nie mógł. Żeby z usamowolnienia rzetelną osiągnąć mógł korzyść, wypadało dawną zwierzchność dziedzica czasowo zastąpić inną, — trzeba było podnieść wśród ludu poziom oświaty i nad działalnością jego w epoce przejściowej odpowiednią zaprowadzić kontrolę. Jakoż rząd pruski nad oświatą ludu pracował dużo; nie zdołał jednak uczynić wszystkiego, chybił nawet w zasadzie, gdy zamiast wiedzy praktycznej propagował wśród włościan naukowe teorie. Pomyślał rząd pruski i nad kontrolą; skoro jednak takową powierzył wójtom gmin rządowych, celu znów chybił. Zamiast pozostawić władzy centralnej wskazanie ogólnego kierunku, a wykonanie szczegółów powierzyć instytucjom

miejscowym, biorącym początek z dołu nie z góry, — oddał rząd pruski kontrolę ludzom niesumiennym i ciemnym, lekko-myślnym lub chciwym. Przyznało prawo włościaninowi własność ziemi zupełną z możliwością sprzedawania jej, dzielenia i zaciągania na nią pożyczek. Na urządzenie nowego gospodarstwa i objęcie wyznaczonych przy regulacyi gruntów, na karczunki i rowy, płoty i mostki, zaraz w początkach niezbędną była gotówka. Że rząd nie zajął się organizacyą banków lokalnych, któreby na wzór szkockich małym przedsiębiorstwom łatwego i taniego dostarczały kredytu, — musiał przeto włościanin na wstępie karyery zaciągać długi lichwiarskie. Przy nateżonym zapale do pracy, podniecanym przez urok własności, potrafił nieraz ciężar ten zepchnąć i potomstwu gospodarstwo zostawiał kwitnące; skoro jednak kilkoro miał dzieci, dzielił się spadek na części, w drugim pokoleniu na mikroskopijne cząsteczki, z których właściciele wyżyć nie mogli. Chociażby i jedno z dzieci gospodarstwo objęło po ojcu, — na spłatę reszty rodzeństwa zaciążył na właścicieli dług znaczny, wyrównujący połowie, a czasem $\frac{2}{3}$ lub $\frac{3}{4}$ całego mienia. Za łada klęską wyniknąć musiała trudność opłaty procentu, gdy zaś i rodzeństwo zażądało sum swoich, zabrakł gospodarz w procesy i spory, zaniedbał budynki, ziemię wyczerpał, sprzedał dobytek, aż w końcu wyszedł z osady z torbą i kijem. Ze sprzedaży gospodarstwa na drodze sądowej dla kosztów wielkich rodzeństwo należności swojej otrzymało zaledwo część małą, — powstawała w ten sposób cała rodzina zebraków. A cóż się stanie — pytał świadomy tych rzeczy Adam Krzyżtopór — z ziemią? „Nie kupi jej — odpowiada — włościanin, bo któryż będzie miał dostateczny kapitał? ale kupi dziedzic sąsiedni i do folwarku dołączy: jemu łatwiej, bo wyższy wykształceniem, spekulujący na większym warsztacie, snadniej uezbiera fundusze; jemu łatwiej, bo dla niego jest kredyt o niskim procencie, a włościanin krom lichwy nie zna kredytu. Tym sposobem z obecnem prawem pruskiem po kilku pokoleniach *zniknie zupełnie klasa zamożnych włościan*, a kraj cały podzielony będzie na wielkie folwarki

JESIENNE LISTKI.

W świecie politycznym więcej zdarza się samobójstw niż śmierci naturalnych.

Polityka jest krajem górzystym, w którym najdłuższe drogi najpewniej prowadzą do stromych szczytów.

Goniąc za sławą, patrzymy tylko w jej blaski; osiągnąwszy ją, widzimy tylko jej koszt.

Umysł ludzki, jak glob ziemski: mieści w sobie wiele klejnotów, których nigdy nikt nie odkrył, a nawet nie szukał.

Czas zaciera dawne karty i pisze na nich nowiny; wszystkie też jego dzieła są palimpsestami.

Dziennik jest tem w stosunku do książki, czem pociąg pospieszny w stosunku do dawnej karetki.

Nowa książka tak mnoży myślących, jak nowa kolej podróżujących.

Miłość jest dla poetów tem, czem ślepotą dla słowików.

Kobiety jak obrazy: więcej znajdują wielbicieli niż znawców.

Filozofia jest kluczem, łamiącym się lub skręcającym w zamku, który ciągle usiłujemy otworzyć.

Starzec podpira się tym samym kijem, na którym jeździł jako dziecko — nadzieją.

Formy sprawiedliwości dają taką samą rękojmię, że ona jest prawdziwą, jak kartki na butelkach z winem, że ono nie jest fałszowane.

W oczach złego cnoty są tylko maskami, a w oczach nieszczęśliwego słońce — plamą na niebie.

W chwili upadku narodów miernoty robią wielką wrzawę, podobnie jak przy schyłku dnia karły rzucają duże cienie.

i zaludniony ubogą wyrobniczą ludnością.“

Ruinę drobnej własności w księstwie poznańskim głębiej patrzący przewidywali już wtenczas, gdy następstw pruskiej regulacji stosunków włościańskich nie stwierdzały jeszcze fakta i cyfry. Dzisiaj sześćdziesięcioletnie doświadczenie przewidywania, powzięte z góry, wzmacnia wskazaniem stosunku, w jakim drobna posiadłość niknie w folwarcznej i tem wymowniej tłómaczy potrzebę przedsięwzięcia środków zaradczych. Zastosowaćby można te same, na jakie przezorność wskazywała przed laty. Opowiednia organizacja gmin wiejskich, mających zastąpić dawną kontrolę dziedzicą; zakładanie szkół elementarnych z programem, zastosowanym do potrzeb ludu; modyfikacja prawa o spadkobranie lub ograniczenie rozporządzania osadą, — są to środki jedyne, mogące drobną posiadłość od zupełnego rozdrobnienia i pochłonięcia przez folwarki osłonić. Jeżeli ani pod względem szkolnictwa, ani pod względem rozkwitu instytucji kredytowych nie możemy księstwu poznańskiemu za wzór stawiać stosunków królestwa, — to z drugiej strony nasz samorząd gminny i niedopuszczenie do kupna osad włościańskich cudzoziemców, szlachty i żydów, jako środki czasowe, sprzyjające utrwaleniu drobnej własności, zalecić wolno.

Sm.

SEKULARYZACJA DOBROCZYNNOŚCI.

Obserwując cały obszar stosunków społecznych, cały szereg najrozmaitszych usług, jakie sobie wzajemnie ludzie bądź pojedynczo, bądź w pewne złączeni koła oddają, zauważyć możemy pewien charakterystyczny fakt, pewne niezmiennie prawo ich rozwoju. Widzimy mianowicie, że pierwotnie każda usługa świadczoną była *darmo*, a pobudkę wewnętrzną, która do niej skłaniała świadczącego, stanowiło *współczucie*, jakie odczuwał dla potrzebującego jej. Powoli dawny ten charakter świadczeń i usług stopniowej ulega zmianie; pierwiastek darmości ustępuje coraz bardziej miejsca wzajemnej wymianie usług, pobudką zaś działania obu stron

staje się coraz bardziej ich *osobisty interes*. Na tem przejściu od darowizny do wymiany, od współczucia i łaski do egoizmu, polega racjonalny postęp każdej sfery działalności ludzkiej, każdej instytucji społecznej.

Powiadam racjonalny postęp, nie trudno bowiem się przekonać, że tylko interes osobisty stanowi normalny, prawidłowy pierwiastek wszelkiej dobrze uorganizowanej ludzkiej działalności. Dopóki w pewną sferę stosunków społecznych pierwiastek ten nie wszedł, jest ona chwiejną i niepewną, a zaspokojenie potrzeb, które dana działalność wywołała, fantastycznie tylko i niemal przypadkowo dokonane być może. Na współczucie innych, na ich łaskę liczyć, jest rzeczą ryzykowną i problematyczną, bo łaska ludzka jest zmienna i zależna od tysiącznych okoliczności, przewidzieć się nie dających. Interes osobisty na odwrót jest u wszystkich jeden i ten sam; mając coś do oddania za przyszłą jakiej od innych potrzebuję lub potrzebować mogę, wiedząc, że są ludzie gotowi za wynagrodzeniem przyjść mi z pomocą, śmiało idę naprzód, bo jestem pewny, że wyrachowanie mnie nie zawiedzie, że zawsze w razie potrzeby znajdę to, o co mi chodzić będzie. Z drugiej strony odwoływanie się do cudzej grzeczności, do cudzej łaski krępuje potrzebującego, podczas gdy żądając wymiany, czujemy silny i pewny grunt pod nogami.

Tę kolej naturalną, ów postęp stopniowy od darmości do wymiany przechodziły i przechodzą wszystkie gałęzie i gałązki działalności społecznej. Pierwotną gościnność, — jedyny środek utrzymania życia podróznego — zastąpiła z czasem normalna, prawidłowo uorganizowana gościnność płatna, w zajazdach, hotelach i restauracjach. Pożyczka, która kiedyś była tylko przyjacielską usługą, przeszła z czasem w usługę wynagradzaną procentem i wytworzyła cały zastęp ludzi nią się stale trudniących a wreszcie publiczne banki i towarzystwa kredytowe, otwarte dla każdego, kto daje gwarancję jej oddania i zapłacenia procentu.

To ogólne prawo rozwoju stosunków społecznych spotykamy w każdej ich dziedzinie, jakkolwiek tu i owdzie w zmienionej formie. Treść jest jedna i ta sama, t. j., że ludzie w swej działalności dla innych coraz bardziej przechodzą ze sfery dowolności, łaski do konieczności, do obowiązku. Postęp w tym kierunku widzimy i tam, gdzieby go się najmniej spodziewać można, w działalności wspierania ubogich. Bo i cóż ubogi dać może w zamian kęsa chleba, który mu rzuca zamożny? jaki ekwiwalent odda mu za łachman, który

mu daje na okrycie? Zobaczmy jak się sprawa ta przedstawia w dziejowym rozwoju, jak działalność społeczna około wspomagania swych biednych kroczy równoległe z innymi.

Pierwotnie gdy potrzeba wywołująca pewną działalność społeczną jest udziałem niewielkiej sumy jednostek, gdy zatem nie nabrała żadnej jeszcze ogólnej doniosłości, społeczeństwo jej nie zna i nie dla jej zaspokojenia nie przedsięwzię. W tem położeniu potrzebujący może jedynie zwracać się do jednostek, do ich łaski, do ich dobrej woli. Do ich łaski, powiadam, bo choćby miał im co oddać w zamian, nie masz nikogo co byłby obowiązany oddać mu żadaną usługę, choćby drogą wymiany. I zwykle wymiana nigdy tu niema miejsca; jeżeli strona odbierająca usługę daje co w zamian świadczącej, to nigdy w formie wynagrodzenia, lecz jako *wywdzięczenie* za doznana łaskę. W tej fazie rozwoju, pomoc ubogim tylko na czysto indywidualnem miłosierdziu wspierać się może.

Skoro dana potrzeba przyjmuje z czasem ogólniejszy charakter i szersze sobą obejmie koło, nabiera już siły, a zatem i społecznego znaczenia. Bezwiednie i instynktowo społeczeństwo bierze ją w swą opiekę, a przyjście jej z pomocą wychodzi już ze sfery czysto indywidualnej. W pojęciu moralne ogółu wchodzi konieczność pomocy potrzebującym, prawa moralne biorą je pod swe skrzydła. Osoby od których pomoc jest żądana, nie mogą już przy jej udzieleniu lub odmowie kierować się czysto osobistymi uczuciami, lecz liczyć się muszą z opinią ogółu, z tem, co tenże uznaje za dobre. W tej fazie rozwoju przyjmujący w dom podróznego, wspierający ubogiego nie czyni tego jedynie ze swego osobistego miłosierdzia. Ulega on panującemu w społeczeństwie prawom zwyczajowym i moralnym, które nań nacisk wywierają. Potrzebujący zyskali tu już pewne *prawa*, które w swej sprawie powołać mogą. Mogą się odwołać do *obowiązku* każdego przyjścia im z pomocą, mogą nawet w pewnych razach odplacić się modłami do istot wyższych lub wołać o pomoc do nieba. Bo szczególnie silne potrzeby społeczne bierze pod skrzydła swe z czasem i religia, i przychodzenie im z pomocą osłania swym systematem kar i nagród pozagrobowych. W każdym razie i tu jeszcze pierwiastek dowolności łaski ważną odgrywa rolę; potrzebujący musi się *prosić* o pomoc, bo prawo moralne i religijne nie wywiera stanowczego, kategorycznego przymusu na jednostki, zostawiając stosowanie się do nich w znacznej części ich dobrej woli.

W działalności społecznej celem wspomagania ubogich, ta faza jej rozwoju głów-

Ani jednostka, ani naród nie jest skazany na naśladowanie swych przodków, lecz na postępowanie drogą przez nich rozpoznaną.

* * *

Duma od niewielu upadków chroni, a wiele sprowadza.

* * *

Bywają zdolni dziennikarze, którzy po za swym papierem okazują się głupimi: bywają mężni żołnierze, którzy po za polem bitwy są tchórzami.

* * *

Wiek ludzki należy raczej mierzyć ilością czynów i myśli, niż liczbą przeżytych dni.

* * *

Gdyby człowiek posiadał klucz wszystkich wypadków historii a chciał zachować

godność rodzaju ludzkiego, powinienby klucz ten rzucić w przepaść tak głęboką, ażeby go w niej nikt nie odnalazł.

* * *

Rzeczywista wartość atramentu, jak złota, zależy od użytku, jaki z niego robimy.

* * *

W braku nowych myśli, tworzymy nowe frazesy i zdaje nam się, że bogacimy naszą wiedzę.

* * *

Gdy kilku członków społeczeństwa wpadnie w gorączkę, wszyscy czują dreszcze.

* * *

Miłość ojczyzny nie jest przywiązaniem do obszaru jej ziemi, ani do świetności jej pomników, lecz do jej praw, obyczajów i tradycji.

* * *

Miedzy sprzedającym i kupującym często bywa rzeczywiście jeden złodziej, ale zwykle co do chęci dwu.

* * *

Jeżeli małpa nauczyła się od człowieka min, dla czegożby krokodyl nie miał nauczyć się od niego łez?

* * *

Żona skąpca i kochanka marnotrawcy nie lubią swych towarzyszy, lecz pieniądze.

* * *

Z obawy zamaczania nóg u źródeł prawdy, rzucamy się w ocean kłamstwa

C. N.

wną do tej pory odgrywa rolę, i stanowi to, co nazywamy *dobroczynnością publiczną*. Jestto faza w której sprawa ta najdłużej pozostawała i do dziś dnia jeszcze w znacznej części pozostaje. Wspieranie ubogich występuje tu jako ogólny obowiązek każdego, miłosierdzie jest cnotą społeczną i zasługą przed Bogiem. Źródła jednak pomocy są czysto dowolne i fantastyczne. Dobrowolne dary pod najrozmaitszą formą składane, pełna poświęceń działalność miłosiernych, a w części pobożnych osób, stanowią jedyne choć często potężne środki dobroczynności publicznej. Rzecz jasna, że w tym okresie organizacja opieki nad ubogimi nie może być należyta, że musi panować w niej chaos i nieład, że działalność rozstrzela się na wszystkie strony i nie może ześrodkować się w żadnym organie, któryby systematycznie całą machiną kierował. Skoro bowiem źródła pomocy, i praca około niej pochodzą z łaski jednostek, ich wola szanowana być musi. Narzucenie jednolitej, systematycznej organizacji jest niemożliwe, bo ostudziłoby to w wielu zapał dobroczynny i ograniczyło hojność. Osoby składające ofiary na ołtarzu dobroczynności, same zwykle wskazują cel i warunki korzystania z ich daru; jest to często nagrodą dla nich za okazane miłosierdzie. We wskazywaniu zaś celu, w tworzeniu nowych instytucji dobroczynnych nie kierują się one zwykle żadnymi racjonalnymi, na zbadaniu potrzeb i znajomości środków opartymi zasadami. W skutek tego zauważono słusznie, że wiele z instytucji dobroczynnych chybia swego celu i raczej szkodę niż pożytek przynosi, tembardziej, że instytucje takie istnieją nieraz całe wieki bez zmiany, bez zastosowania do potrzeb obecnych, a to dla uszanowania woli fundatora.

Przechodzi wreszcie czas na trzecią fazę w rozwoju wszelkiej ludzkiej działalności. Czas ten zjawia się wtedy, gdy dana potrzeba roztacza się na tak znaczną część społeczeństwa, że okazuje się konieczność stałego, systematycznego jej zaradzenia. W tym punkcie t. j. co do sposobu tego zaradzenia zachodzi znaczna różnica, zależna od natury potrzeby, która daną działalność wywołała. Jeżeli potrzeba i środki zaradcze są tak proste, że pojedyncze jednostki są w stanie dopatrzeć się w nich swego interesu, swej korzyści, interwencja społeczeństwa staje się zbyteczna. Główny ekonomiczny czynnik, egoizm, troska o dobrobyt, jest sam przez się dostatecznym bodźcem, żeby skłonić pewną sumę jednostek do wytworzenia dobrze i porządnie uorganizowanych instytucji, mających na celu wszechstronne zaspokojenie jakiejś powszechnej potrzeby. Co najwyżej, jeżeli instytucja taka wymaga znacznych nakładów, ogół wspiera ją zbiorowymi środkami materyalnymi. Działalność w tym kierunku wchodzi tedy na najwyższy stopień swego rozwoju t. j. w sferę poruszaną osobistym interesem, spokojnie, ze wzajemnym zadowoleniem stron. Zaczyna się widoczna dla wszystkich i wygodna epoka prawidłowej wymiany usług.

Inaczej rzecz się ma wtedy, jeżeli potrzeba, choć rozpoczyna na rozległą sferę i wywołująca absolutną konieczność prawidłowego przyjścia jej z pomocą zbyt jest skomplikowana, żeby mogła być zrozumiana należyte przez wszystkie jednostki ogółu składające, jeżeli jednostki te nie widzą swego interesu w oddaniu innym usługi. Tu wymiana indywidualna miejsca mieć nie może, bo dający nie czuje doniosłości tego co datkiem swym okupuje; dając, sędzi nie raz, że daje jałmużnę tam, gdzie w rzeczywistości opłaca konieczny podatek na utrzymanie organizmu społecznego, którego cząstkę stanowi. W tych razach społeczeństwo czynnie wystąpić musi, egoizm społeczny zastępuje indywidualny. Tam gdzie jednostki nie widzą

dla siebie korzyści z przyjścia z pomocą potrzebnie, lub tego uczynić nie mogą, spostrzega je społeczeństwo i we własnym interesie, w imię instynktu samozachowawczego bierze na siebie nowy obowiązek. Obowiązek, bo wywołuje go nie łaska dla innych, nie moralne odczucie ich cierpienia i dążenie do wspólnolomysłnego im ulżenia, lecz względ na siebie samego, konieczność utrzymania swej egzystencji.

W tem właśnie położeniu znajduje się działalność około wspierania ubogich. W czasach obecnych nędza wywalczyła już sobie, niestety, poważne stanowisko w organizmie społecznym i dopomina się o swe prawa. Obejmując sobą coraz liczniejsze zastępy w łonie nowożytnych społeczeństw, stanowiąca już niezaprzeczoną, groźną siłę, przestaje prosić, a zaczyna żądać, przestaje zwracać się do miłosierdzia, i łaski, lecz odwołuje się do praw, które w razie ich nieuznania, wywalczyć jest w stanie. Nie uważa się już za cios dotykający jednostkę z jej własnej winy lub dopuszczenia bożego, które z pokorą i poddaniem się przyjąć należy, ale zaczyna obwiniać ustrój społeczny, w nim widząc swe źródło, i jemu przypisuje obowiązek przyjścia z pomocą. A społeczeństwo nie śmie temu zaprzeczyć i obowiązek ten ze swej strony uznaje. Mężowie poważnej nauki, wytrawni kierownicy machiny społecznej nie podzielać dzikich wybryków socjalnego ruchu, dostrzegają już jednak prawdę na dnie jego spoczywającą, prawdę, że istniejący porządek ma swe ofiary, którym los ich smutny, o ile można, wynagradzać musi, jeżeli nie chce zaważyć się pod ich ciosami.

Wobec tego działalność dobroczynności jednostek lub stowarzyszeń oparta na ich dowolności i łasce, staje się nie wystarczającą, okazuje się gwałtowna potrzeba ścisłego, dokładnego zorganizowania pomocy dla biednych, opartego na zasadzie jedynie zdolnej do podtrzymania wszelkiej porządnej instytucji społecznej, t. j. na interesie osobistym, na poczuciu prawnego nie zaś tylko moralnego lub religijnego obowiązku. Od ludzi tkliwego serca, z rąk księży i dewotek, opieka nad ubogimi musi przejść do atrybucji władz społecznych, pod zarząd obowiązanych do tego specjalnych organów administracji. Z honorowej rozrywki emerytów i ludzi szukających rozgłosu, z przedmiotu płochy nie raz i próżności zaprawnej rozrywki dam wielkoświatowych stać się musi kwestyą poważną, zajmującą prawodawców i mężów stanu.

Ta sekularyzacja dobroczynności, to wprowadzenie opieki nad ubogimi z mglistych, fantastycznych lubo i szlachetnych stref miłosierdzia i religijnej ekstazy do chłodnej i na rachunku opartej działalności organów społecznych w dwu głównie przejawia się kierunkach. Jeden z nich dotyczy źródeł materyalnych pomocy ubogim, drugi — sposobu jej udzielania.

W okresie absolutnego panowania dobroczynności (bienfaisance, Wohltätigkeit) środki materyalne płyną, jak wiadomo, z mnóstwa źródeł, mniej lub więcej obfitych, lecz zawsze mniej lub więcej niepewnych. Hojne dary przyjaciół ludzkości, skromne datki osób litościwych, zapisy sknerów, którzy na łożu śmierci zaczynają dopiero marzyć o uszczęśliwieniu ludzkości majątkiem, którego do grobu zabrać ze sobą nie mogą, łączą się tu z wyciśniętymi konwenansem i w cichości przeklinanymi ofiarami, z prezentami upojonych holdami i łatwym zarobkiem aktorów i śpiewaczek, z ofiarowaniami a nieprzyjętymi honoraryjami za „przyjacielskie usługi“ i t. p. efemerycznymi dochodami. Rzecz jasna, że źródła te, pomijając nawet dołączane do nich często, a nie zawsze trafne warunki, nie mogą służyć za podstawę żadnej porządnie uorganizowanej instytucji

publicznej. Społeczna pod powagą państwa istniejąca opieka nad ubogimi (assistance, Armenpflege), musi mieć inne, pewne, stałe źródło a mianowicie obowiązkowy dla wszystkich podatek na ubogich. Daje on z jednej strony możność ułożenia dokładnego budżetu i racjonalnego kierowania instytucją, z drugiej zaś jest dotykającym wyrazem obowiązku społecznego wspierania ubogich, interesu jaki w tem ma cały ogół. Podatek taki istnieje od r. 1601 w Anglii, w innych jednak krajach nie masz go dotąd nigdzie. Co najwyżej państwo ustanawia pewne opłaty dodatkowe na korzyść instytucji dobroczynnych. Istnieje wprowadzić tu i owdzie obowiązek gmin pomagania swym ubogim (między innymi i u nas), lecz brak bliższych jego określeń i specjalnych na ten cel funduszy, redukuje go do nader drobnych rozmiarów.

Drugą ważną cechą charakteryzującą społeczną, na obowiązku opartą opiekę nad ubogimi, stanowi sposób jej uorganizowania. W epoce wyłącznej dobroczynności o ścisłej organizacji mowy być nie może. Na straży interesów ubóstwa stoi raczej serce niż rozum, dobre chęci niż umiejętność. Teoria powszechnie przyznaje, że w wielu razach dobroczynność więcej szkody niż pożytku przynosi i staje się plagą publiczną zamiast być ogółowi pomocą. Opieka, ku której siła okoliczności zmusza nowożytnie społeczeństwa, musi mieć porządną, na wynikach nauki i poważnego doświadczenia opartą organizację. Kierownictwo jej znajdować się musi w ręku ludzi fachowych, specjalistów w sprawie opieki nad ubogimi, bo w ten tylko sposób istnieć może jakakolwiek instytucja społeczna. Zasady jej ujęte być muszą w pewne stałe, ściśle określone normy, które stanowić będą z czasem osobną naukę tak, jak istnieją nauki o innych gałęziach administracji.

Oile porządna organizacja wpłynąć może na polepszenie stanu rzeczy w tej dziedzinie wykazać można na Niemczech, gdzie wiele miast przechodzi już powoli od systemu dobroczynności prywatnej do społecznej regularnej opieki nad ubogimi. Jako miasto pod tym względem wzorowe i stanowiące dla innych wzór, cytują Elberfeld. Organizacja tamtejsza datuje od r. 1852. W mieście posiadającym podówczas około 50,000 ludności ustanowiono 252 opiekunów honorowych z obywateli, i podzielono ich na 18 rewirów. Na każdego przypadało od 2 do 4 wypadków udzielania pomocy, co nie mogło ich bardzo obciążyć pracą. Opiekunowie zbierają się na sesje cyrkulowe, zaś naczelnicy cyrkulów na sesje główne, stanowiące organ najwyższy. Dodać należy, że według prawa z r. 1870 miejsca opiekunów są obowiązkiem publicznym, od których nikomu nie wolno się wymówić. Rezultaty nowej organizacji w Elberfeld okazały się do zadziwienia pomyślne. W roku 1852 było w mieście 4,000 ubogich potrzebujących pomocy (8% — 9% ludności) w r. 1876 pomimo wzrostu ludności o 30,000, było ich zaledwie 1.100 t. j. 1½% ludności. W Krefeld, gdzie wprowadzono w r. 1862 organizację elberfeldską, rezultaty obliczone pięcioleciami były następujące. W r. 1858 — 62 (przed wprowadzeniem) ubodzy stanowili 4.5% ludności, w r. 1862 — 67 5.5%, w r. 1863 — 72 3.2%, zaś w roku 1873—77 tylko 2.7%. Wzrost ubogich w pięcioleciu 1863—67 tłumaczy się skutkami wojny 1866 r., które w Krefeld znacznie odczuć się dały.

Nie leży w zakresie obecnego artykułu wdawanie się w szczegóły kwestyi opieki nad ubogimi. Chodzi w nim jedynie o zaznaczenie nowego zwrotu, na jaki sprawa ta wejść musi, na jaki nawet wchodzić już zaczyna (np. w Niemczech). Zdaje mi się, że cały dotychczasowy przebieg tej sprawy,

analogiczny z innymi sferami działalności społecznej, ten jej kierunek wskazuje. Z drugiej zaś strony niepodobna zaprzeczyć, że nastrój obecnej epoki, naprężenie stosunków między klasami ekonomicznymi stanowiący przełom w tym względzie wywołać musi. Uznanie obowiązku społeczeństwa do udzielenia w sposób racjonalny i prawnie określony pomocy każdemu ubogiemu będzie może jednym z najpierwszych środków zażegnania na drodze spokojnej burzy społecznej.

Czy jednak wobec tej nowej, państwowej fazy w sprawie opieki nad ubogimi, upadnie całkiem dawny pierwiastek dobroczynny, na miłosierdziu oparty? Nie ulega wątpliwości, że nie, tak samo jak zaprowadzenie hotelów nie mogło stanąć na zawadzie objawom gościnności, lub zakładanie banków wykluczyć zupełnie udzielanie przyjacielskich, bezprocentowych pożyczek. Dobroczynność działać nie przestanie, lecz zejdzie na drugi plan, wejdzie pod kontrolę porządnie uorganizowanej instytucji. Ofiarnosć dobrowolna może stanowić nawet w znacznej części dodatkowe źródło dochodów tej instytucji a prócz tego znaleźć może zawsze nowe pole do działania i w innym pożytecznym dla ogółu zwrócić się kierunku.

K. D.

TEORIA WYCHOWANIA,

oparta na historii, psychologii, moralności, polityce
(podług GABRIELA COMPAYRÉ).

I.

Badania idei pedagogicznych, jakie świat kiedyś obiegaly, nie mogą być uważane za satysfakcyę, daną historycznej ciekawości erudyty. Stanowią one raczej wstęp i przygotowanie do zbudowania teorii lepszej, dokładniejszej i ściślejszej. Kierowani wspomnieniami przeszłości, a ożywieni nadzieją przyszłości dobrej, postaramy się w streszczeniu przedstawić, jakie są elementy teorii wychowania racjonalnego i na jakich to danych historycznych, psychologicznych, moralnych oraz politycznych winna się wesprzeć teoria tego rodzaju. Postaramy się w rysach ogólnych skreślić plan nowej pedagogiki, która by jednocześnie odpowiadała powszechnej naturze człowieka, a obok tego czyniła zadosyć bieżącym potrzebom społeczeństwa. Postaramy się wykazać, co może owa teoria pożytecznie od przeszłości, co powinna do niej dodać, zasilwszy się i wzbogaciwszy obecnie wiedzą psychologiczną nadewszystko. Znaczne to są trudności, które stają na drodze filozofii wychowania, a kto wie, czy nie pozostaną one na zawsze trudnościami niepokonanymi. Otóż, jeśli w usiłowaniach stawiania nowych teorii wychowawczych wątplą tylko można mieć nadzieję, ażeby coś stanowczo dało się rozstrzygnąć, to przynajmniej wypada koniecznie kwestyę postawić jasno i wyraziście. W każdym razie należy przygotować grunt dla umiejętności, którą dzisiejsza epoka zalicza do *pia desideria*, a która — gdyby się ustaliła, położyłaby koniec stapaniu po omacku i bezustannemu eksperymentowaniu.

Wiekom ubiegłym nietylko zbywało na znajomości zasad, ile na umiejętnym ich wyzyskaniu, na właściwym zastosowaniu i wyznaczeniu tymże zasadom istotnego stanowiska. Prawdy pedagogiczne rzadko kiedy były analizowane; występowały one niejako przypadkowo, a nie zagłębiano się, aby je zbadać do gruntu, ani też nie usiłowano rozwijać ich następstw. Większa jednakże część zasadniczych elementów, stanowiących sztukę wychowania, znaną była od-

dawna, a nowożytny pedagog dobrze postąpi, jeśli dzieło swego zawodu rozpocznie od oryentowania się w tradycjach przeszłości.

Rabelais jako cel wychowania postawił wiedzę encyklopedyczną. Edukacya poczęła się wyswabadzać z jarzma scholastyizmu, zrobiła rozbrat z pedantyzmem, z formalizmem sylogistycznym.

We Francyi krok następny zaznaczony jest przez Montaigne'a, który inną ideę znowu uczynił popularną. Dla niego wiedza nie jest celem wychowawczym jedynym, ale wychowany człowiek ma być świadom spraw życia; winien on raczej być rozsądnym, niż wiele umięcym. Rabelais widzi swój ideał edukacyjny w energicznym a pracowitem gromadzeniu wiedzy, podczas gdy Montaigne pragnie, aby człowiek swobodnie tylko umiał używać tego, co umie.

Jezuici przyoblekli wychowanie w inną szatę. Wśród mnóstwa błędów, którymi się systemat ich odznacza, jeden punkt jest trwalszej natury — mówimy tu o zwróceniu całej bacności na przyswojenie wychowancom wykwintności literackiej formy zarówno w rozmowie, jak w utworach piśmiennych. Metoda jezuicka zdąża do tego, aby młodzieniec kochał nauki i aby ćwiczył swój umysł przez naśladowanie wzorów starożytnych.

Podczas gdy jezuici pogrążają się całkowicie w drobnych przepisach retorycznych i poetyckich, samotni pedagogowie z Port-Royal zdają się głębiej wnikać w duszę ludzką i rozmyślają nad tem, jak wytworzyć poważne przymioty charakteru. Nie zapominają przytem, iż ów przybytek edukacyjny pierwszy przyłożył się do powstania narodowego wychowania francuzów, a to przez wyznaczenie krajowemu językowi stanowiska jedynego właściwego w nauczaniu dzieci, co dotąd jeszcze nie dla wszystkich jest zrozumiałe w różnych krajach. W Port-Royal również nauki humanitarne poczęły być stosowane jako ćwiczenia umysłu, a nie jako językowa wprawa.

Bossuet i Rollin nie nadali wcale nowego blasku sztuce wychowania, ale — można by powiedzieć — udoskonalili gust i wykwint literacki. Dla Rollina gust ów jest najwyższym celem nauki i panującym przymiotem człowieka. On to stworzył teorię smaku w przeddzień wieku, gdzie tylu pisarzy sławnych zaznaczyło chlubnie w literaturze swoje imiona. Wprawdzie smak taki, co do znaczenia swego w wychowaniu, nie zdoła sprostać ani wzniosłości dobrze wychowanych uczniów, ani też niemożna go cenić na równi z gruntownością poznania, jednakże ma on prawo być zaliczonym do istotnie pożądanych przymiotów dobrze wychowanego człowieka.

Mniej może sławny autor, Fleury, postawił nadzwyczaj ważne pytanie: „gdzie się ma zatrzymać nauka wspólna dla wszystkich? gdzie się ma rozpocząć nauka specjalna? i t.d.“

La Chalotais, Roland zalecają we Francyi pierwsi nauczanie, ustanowione przez państwo, udzielane dzieciom przez ludzi świeckich i postawione ponad stronnictwa religijne. Oni także rozpowszechnili ideę uniwersytetu, jaki urzeczywistnił Napoleon w późniejszym czasie, czyniąc zawiśłą od swych interesów osobistych i dynastycznych instytucyę, którą La Chalotais oraz Roland pojmowali w myśl powszechnego interesu ojczyzny.

Cosiętczy wychowania niewiast, pani de Maintenon i Fénelon pojęli dobrze jedną część wychowania kobiety, pragnąc dla niej przymiotów sereę, rezygnacyi, dobroci. Niewiasta ma się przygotować do odegrania swej roli jako małżonka, matka, chrześcianka. A jeśli oni położyli za mały nacisk na intelektualną edukacyę dziewcząt, za to Condorcet wynagrodził ich braki, proponując bardzo rozległy a nawet zbyt przeciążony program wychowania kobiety.

Ze wszystkich atoli myślicieli, traktujących we Francyi dzieło wychowania, pedagogika najwięcej musi mieć wdzięczności dla Rousseau. Bo cóż to za przepyszne zasady, złożone w „Emilu“, przyczyniły się do sowitego pomnożenia dziedzictwa pedagogów! Spotykamy tu przedewszystkiem płodną ideę stopniowego rozwoju, kroczącego od wieku dzieciństwa po przez wiek młodzieńczy, — ideę, która zobowiązuje pedagoga, aby zachowywał miarę i proporcję względnie do wieku swego wychowanka, jako też odpowiednio do jego zdolności. Tu także występuje pojęcie dbałości o ciało, o zdrowie, o siły fizyczne. Bo wszakże pierwszym warunkiem powodzenia w życiu jest, jak mówi energicznie H. Spencer, „być zdrowym zwierzęciem.“ W „Emilu“ także uderza nas zalecenie, aby dziecię — o ile można — powierzać jego własnym siłom, ścieśniając zakres wpływu nauczyciela, nieraz tak bardzo przesadzony. Wielką to myśl zaprawdę szukać w naturze człowieka podstaw edukacyi, dać swobodę tejże naturze, aby kierowała wychowawczą dzieckiem. Sztuka wychowania tutaj znaleźć może punkt wyjścia dla siebie. Niemniej w tem samem dziele wielkiego filozofa-pedagoga spotykamy się z systemem kar naturalnych, podstawianym miasto kar samowolnie wymierzanych przez nauczycieli oraz rodziców. Łatwo pojąć, na czym kary takie polegają i jeśli dziecię stało się sprawcą nieporządku, ono samo winno przywrócić porządek; jeśli zepsuło jakąś swoją zabawkę, niechaj się bez niej obchodzi i t.d.

Wszystkie prawie wielkie dzieła pedagogiczne naszego wieku czerpały w nieśmiertelnym „Emilu“ natchnienia swoje.

Wychowanie nietylko jest kwestyą psychologiczną i odnoszącą się do zbadania indywidualum: jest ono zarazem sprawą polityczną i wielkim społecznym interesem. To też i z tego punktu widzenia myśliciele, o których tu była mowa, poruszali ważne zagadnienia i przygotowywali ich rozwiązanie. Rewolucya wielka, którą niesłusznie oskarżają, iż niszczyła urządzenia przeszłości, tworząc wszystko na nowo według wzoru czystej logiki, ogłosiła jednak prawarodziny i osobistości człowieczej. Wszakże potępiła ona nastawianie państwa na swobodę sumienia i wyznala uczucia jak najczystszy liberalizmu. Po za tem jeszcze pierwsi, którzy zapragnęli w dobrej wierze rozpowszechnienia oświaty, byli to ludzie rewolucyi. Rozsiać potoki światła po najodleglejszych siołach, zakładać wszędzie szkoły, — nie jestże to szlachetna i społecznie wielce użyteczna myśl? Teraz dopiero powstał ideał wychowawczy: patriota i obywatel, który więcej jest wart niż erudyta lub stylista.

Pedagogika niezawodnie najstaranniej uprawiana jest w Niemczech, ale potężne jej sprężyny wyrobione zostały po większej części na dalszym zachodzie: we Francyi; należy tylko zebrać i zestawieć myśli rozprószone po różnych pracach.

Nie można też zrozumieć, czego chcą niektórzy pedagogowie płci męskiej i żeńskiej, co sami z siebie wszystko snują, nie bacząc, jak daleko lepiej od nich ludzkość wiele rzeczy już wykończyła. Możeby nasze panie, przeważnie figurujące w literaturze pedagogicznej polskiej, złamały tymczasem swe pióra i zabrały się do czytania oraz praktyki nauczycielskiej, a przekonalyby się, iż długo musi się uczyć pedagog sam, zanim innych nauczać pocznie. Historia pedagogiki nie jest prostym wykazem idei, następujących po sobie bez związku: jest ona raczej nieświadomym postępem, zbliżającym się nieustannie do swego ideału, wytkniętego przez przyrodę. Pedagog eklektyk winien podążać za tym potokiem, powinien, że tak powiemy, spostrzedz tu teorię przyrodniczego doboru, według którego idee mniej doskonałe ustępują doskonalszym.

Wśród owych dziejów myśli wychowawczej spostrzegamy aspiracją rodzaju ludzkiego do dania przewagi naukom użytecznym i praktycznym nad innemi naukami, niejako będącymi przedmiotami zbytku. Można by ten popęd, stopniowo doskonalący się, porównać z popędem, przekładającym w ubiorze błyskotkę raczej, nad rzecz potrzeby lub wygody. W historii wychowania nauki błyskotliwe, które ozdabiają niejako umysł, przez długi czas miały przewagę nad gruntowną wiedzą, karmiącą istotnie ludzkiego ducha i przygotowującą go do stoczenia walki o byt. A dzisiaj jeszcze, czyż nie jesteśmy skłonniejsi do chępliwości z powierzchownej ogłady humanisty, aniżeli z rzetelnego wykształcenia przemysłowca lub rękodzielnika? Temu to gustowi zaprawdę winni jesteśmy zamięłowanie nasze do łaciny i greki, których — jak u nas — to dalibóg i nauczać mało kto umie nawet. A czemużbyśmy innemu przypisali zamięłowanie nasze do francuzyzny, dla której matki i ojcowie poświęcają intelektualny rozwój swych pacholąt. Naturalnie, w edukacji kobiety przewaga zbytkownej owej nauki jest jeszcze w wyższym stopniu uderzająca. Tutaj panuje zupełna dekoracja zarówno we wszystkim, co się odnosi do ciała, jako też i do umysłu. W „Emilu“ Rousseau, w wielkiej liczbie dzieł XVIII wieku, w projektach rewolucji, oraz w usposobieniach nowszych czasów przebija się pragnienie, niekiedy nadmierne nawet, aby miasto tych czysto dekoracyjnych nauk, mających za cel podziw i przyklask, podstawić nauki użyteczne, które nie tylko zapewniają jednostce dobrobyt, ale nadto ułatwiają jej spełnianie wyższych zadań i obowiązków.

Adolf Dygasinski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEMCY A GERMANOWIE.

(Dokończenie).

Virchow, badając te plemiona niemieckie, które w czasach historycznych występują na widownię walki z rzymianami, spostrzega już znaczną różnicę pomiędzy nimi w ustroju ciała, gdyż najdawniejsze zabytki i wykopaliska osteologiczne z północnych, środkowych i południowych Niemiec nie wykazują żadnego wspólnego wybitnego typu. Ponieważ nie ulega żadnej wątpliwości, że rozmaite plemiona, wchodzące w konflikt i stosunki z rzymianami, w rozmaitych epokach czasu występowały z głębi Niemiec, więc zdaniem tego badacza, nie odłączały się one tylko od jednego głównego pnia w Niemczech, i pewnych różnic między nimi należy szukać i przypuszczać gdzieś głębiej na wschodzie. Zważmy też i na to, że plemiona posuwały się zwolna na zachód, postępując wachlarzowato i zajmując stopniowo jedną ziemię po drugiej — więc nie mogły występować jako absolutnie jednostajny naród, lecz posiadały swe odrębne cechy, dostatecznie silne, by się w liczbach unaocznily. Zapytajmy chociażby tylko historycznych świadectw, to spostrzeżemy trzy odrębne plemiona: na północy ingaevonów, w środkowych Niemczech hermonów, a wreszcie Istavonów. Wszak bardzo naturalnem będzie pytanie, czy różnica pomiędzy nimi była tylko polityczna? była li ona tylko różnicą moralną, tak zwykłą w ludzkości? czy też tylko dyalektyczną? Odpowiedzmy w pierw na te pytania, zanim o Germanii mówić zaczniemy.

Wszak dzisiaj, gdy patrzymy na wielkie plemiona, które same siebie jako całość, a inne plemiona jako sobie obce uważają n.p. w Afryce, nikt nie będzie twierdził, że mamy tu do czynienia tylko z przypadkowymi, zewnętrznymi różnicami plemiennymi —

dlaczegoż odmienne miałyby być stosunki Germanii? Ze wschodu przybyły jak wiadomo szczepy germańskie, w długich odstępach czasu posuwały się stopniowo na zachód, na rozmaitych miejscach zatrzymywały się i tam żyły, a bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że musiały się mieszać z innymi szczepami. Czyż mamy jakiegokolwiek dane, aby nie przypuszczać, że fryzowie nad Renem posiadali inny ustrój ciała aniżeli frankowie, a alemanowie inny aniżeli frankowie, lub że bajuwarowie w odmiennych warunkach wzrastali fizycznie od sigambrow? Ja sądzę, mówi Virchow, że musimy się na dziś z tem pogodzić, iż nie jesteśmy w możności znaleźć w historycznych świadectwach innych wskazówek, prócz dotyczących właściwości pewnych ludów, które z ówczesnym narodem ucywilizowanym weszły w stosunki, lecz jest niepodobniestwem wysledzić stan pierwotny zakwestyonowanych szczepów i rozprawić o wschodniej kolebce jednego wspólnego pnia.

Jeśli by kto dziś powiedział, że czytał o tożsamości nazwisk wandalów i wendów, a tem samem pierwszych za słowian poczytywał i opierając się na tem umieścił wandalów jako napływowych na Szląsku i w Łużycach, a następnie twierdził, że słowianie byli tu osiedleni przed wędrowkami narodów, że zatem znalezione wykopaliska należą do słowian, to jeszcze przed kilku laty można było śmiało powiedzieć, iż cały materiał osteologiczny, jest tak zaliczony do germańskich wykopalisk, a zwłaszcza czaszki noszą tak wybitne piętno germańskiego pochodzenia, że bez namysłu zaliczamy te szczątki do dziedziny dolichocephalicznych przodków niemieckich n. p. wandalów. Nagle napotkano ozdoby słowiańskie (Schlayfenringe) i tych rzekomych pragermanów uznano powszechnie za słowian. Zdaniem Virchowa obecny stan nauki i zyskanych wiadomości przemawia za tem, że owe groby i szkielety są słowiańskie.

W dalszym ciągu swej rozprawy, pisze Virchow, że przyznanie słowianom wykopalisk nad Łabą, Odrą i Wisłą jest w każdym razie bolesną rzeczą (allerdings schmerzhaft), lecz sprawiedliwą, a tem niedogodniejszą dla Niemców, że badacze muszą na tem polu długo i sumiennie pracować, by dojść do stanowczych rezultatów, gdyż obecnie jest się zaledwie u początków, to też wyrok ferowany na podstawie osteologicznych materiałów w kwestyi germańsko-niemieckiej, jest co najmniej bezzasadnym i przedwczesnym.

W tej samej sprawie oceny stanowiska i wzajemnych stosunków dzisiejszych Niemców do dawnych germanów, zabrał głos Karol Vogt, którego zdaniem prusacy nie powinni tak wysoce pozować na germanów, bowiem przeważa w nich krew słowiańska, a domieszka germańska jest nader szczupłą.

Przeciwko Vogtowi występuje Virchow, twierdząc, że w X i w XI wieku był nader silny napływ niemiecki na ziemię słowiańską, że ilość krwi wendyjskiej, weszłej w ustrój cielesny prusaków nie należy uważać za przeważającą krew niemiecką, że łatwość zgermanizowania Pomorza wskazuje dostatecznie jak silnym był żywioł niemiecki i jak głębokie zapuścił korzenie.

Naszem zdaniem dowodzenie Virchowa, jest gołosłowne, nie poparte danymi statystycznymi i znajomością przebiegu walki ze słowiańszczyzną zachodnią, posiadamy bowiem autentyczne świadectwa, że Niemcy stanowili tylko wierzchnią, napływową warstwę w krajach słowiańskich, że sami właściciele niemieccy osłaniali słowiańskich mieszkańców przed napascią i łupieniem, działając w tym wypadku w interesie osobistych korzyści, bowiem lud był dogodnym bytlem roboczym, istnienie wsi t. z. „Wendische Dörfer“ z populacją na wskroś słowiańską, obudzenie się ruchu narodowe-

go w serbo-łużyczanach etc. etc., świadczą dowodnie, że pierwszy, najważniejszy i najbardziej wpływowy na etnologiczne stosunki pokład mieszkańców, dzisiejszych Prus, Meklenburgii, Hanoweru i t. d., stanowił lud słowiański, że zatem zdanie Vogta jest najzupełniej usprawiedliwione. Pisząc to, nie łudzimy się wcale nadzieją, że prusak uznaje się za słowianina, że powodowany wspólnością krwi nie będzie gnębił słowian, lecz idziennam jedynie o stwierdzenie faktu, że dzisiejsza dzielność umysłowa i fizyczna północnych Niemiec jest wpływem zlania się dwu ras.

Kollmann, którego przecież nikt nie posądzi o słowianofilizm, jest jednak zdania, że słowiański żywioł sięgał bardzo daleko w głąb Europy, przynajmniej lewy brzeg Łaby i górną Fuldę, ale widzi słowian nad Renem i morzem północnem, a ślady ich wędrowek posuwa daleko na zachód. Badacz ten opiera się w tym wypadku na wykopaliskach, lingwistyce i nazwach geograficznych.

Więc w chwili obecnej posiadamy zgodne mniemania dwóch poważnych badaczy: Vogta i Kollmanna, którzy przyznają słowianom wielką rolę w dziejach cywilizacji i ustroju fizycznego mieszkańców Europy. I zaiste potwierdza się zdanie jednego z angielskich uczonych, który germańskie plemiona osiadłe pomiędzy Wezerą a Renem, porównywał do tłustej plamy na białym tle; tłuszcz rozszerzając się zanieczyścił i zabrudził przyległe kraje.

Badając stosunki południowych Niemiec, pisze Virchow, natrafiamy na jeszcze większe trudności w rozwiązaniu tej kwestyi na północy, gdyż w stronach północnych mamy do czynienia z jednolitą masą ludu, występującą jako czynnik wpływowy, a mianowicie ze słowianami, zaś na południu sprawa keltów czy celtyków przedstawia się nam jako sfinks, którego, przynajmniej dotychczas, nikt nie odgadnął ani rozwiązał; i w istocie tylko ten może mówić, że poznał tę kwestyę, kto dał się ponieść entuzjazmowi, swemu widzimisię lub zarozumiałości. Lindenschmit nie chce nie wiedzieć o keltach w Niemczech, natomiast Virchow twierdzi, że świadectwa historyczne stwierdzają ich bytność. Badania czaszek, przedsięwzięte przez pp. Rankego i Kollmanna wskazały w południowych Niemczech silną przewagę krótkogłowych (brachycephalen), musimy więc przypuścić albo znaczny napływ albo istnienie rodzinnego pokładu, preegzystencji krótkogłowych. Zważywszy na analogiczne stosunki we Francji, gdzie począwszy od Loary na południe panuje ten sam typ, co i w południowych Niemczech, to zaiste przypuszczenie, że krew kelticka płynie w ludziach o tych krótkich ciemnowłosych głowach nabiera wielkiego prawdopodobieństwa. Nad tą kwestyą dyskusja jest otwartą, a prawie nie rozpoczętą. Ponieważ nie zbadano należycie wpływu i znaczenia keltów, nie można więc myśleć o rozwiązaniu zagadnienia niemiecko-germańskiego w południowych Niemczech.

Przy końcu swej rozprawy, przestrzega Virchow badaczy, by zbyt pochopnie nie stawiali teorii na podstawie wspólności lub podobieństwa brzmień w nazwach szczepów, ludów lub miejscowości, a przyjąwszy nie wytwarzali czepych domysłów etnologicznych lub antropologicznych. Tem mniej znaczenia mają nazwiska rodzinne. Jeśli się dzisiaj kto Schulze nazywa, to wcale nie dowodzi jego germańskiego pochodzenia, nazwisko to pochodzi z piastowanego urzędu i godności; z nazwy urzędnika przeszło na osobę i rodzinę, podobnie jak inny nazywa się Müller lub Schuster z tytułu rzemiosła, a nie wiemy czy w czasie gdy w niem pracował należał do tej lub owej rasy. Wiadomą jest rzeczą, że ustalenie nazwisk rodowych nastąpiło względnie późno, bo dopiero w XIV wieku, zatem na pewno

nie możemy sądzić z nazwiska, czy ktoś jest słowianinem czy Niemcem. Tego rodzaju pseudofilologia nie opiera się na żadnych innych dowodach, oprócz na przypadkowym brzmieniu nazwiska. Ponieważ są tacy uczeni, którzy starannie gromadzą statystyczne dane nazwisk, by na nich budować swe systemata, więc ostrzeżenie to jest bardzo na czasie.

Jesteśmy u końca poruszonej kwestyi. Reasumując wywody Lindenschmita, Kollmanna, Vogta i Virchowa, widzimy, że szowinizm pierwszego badacza zaprowadził go na bezdroża i do absurdów niegodnych poważnej nauki i zdobytych materiałów; zapytywania dalszych trzech badaczy wykazują, że utożsamianie Germanów z dzisiejszymi Niemcami nie ma racji bytu, a materiał osteologiczny jest niewystarczający, by dojść do stanowczych, pozytywnych rezultatów. Jednak nie ulega wątpliwości, że w badaniu typu i charakteru Niemców musimy wciągnąć jako wpływowe czynniki Słowian i Keltów, pozostało więc zagadnienie tylko co do quantum, bo qualitas jest znana.

Wojciech Gruszecki.

KORESPONDENCYA TALLEYRANDA.

(Dokończenie).

Po tem ogólnem ocenieniu polityki księcia Metternicha, skreśla w następnych słowach w liście z dnia 12 listopada 1814 jego postawę w kwestyi polskiej i saskiej. „Po konferencji, pozostawsz sam z księciem Metternichem, a pragnąc wiedzieć, co myśli w sprawach Polski i Saksonii, — i co zamierza uczynić w jednym i drugim przedmiocie, — poczęłem, zamiast stawiać mu pytania, któreby był wymijał, mówić mu o nim samym, a, przybierając ton starej przyjaźni, powiedziałem mu, że trudniąc się sprawami publicznymi, trzeba także myśleć o sobie samym; że mi się zdaje, iż tego dosyć nie czyni; że są rzeczy, o których się jest zmuszonym przez konieczność, lecz że trzeba, aby ta konieczność stała się oczywistą dla wszystkich; że nie wystarcza działać z powodów choćby najczystszych, że choćby nawet te powody były znane publicznie, będzie się mimo to ulegało potwarzy, ponieważ publiczność sądzi tylko z rezultatów; że jest przedmiotem wszelkiego rodzaju zarzutów; że go oskarżają np. iż poświęcił Saksonię; że się spodziewam, iż tego nie uczynił, lecz że pocóż pozostawiać pozór tego rodzaju wieściom? Czemuż nie dać swym przyjaciółom środków swej obrony i usprawiedliwienia? Nieco otwartości z jego strony było następstwem rodzaju wylania, z jakim doń mówiłem. Przeczytał mi swą notę do Prusaków w kwestyi Saksonii, a kilka dość serdecznych podziękowań z mej strony spowodowały go, iż mi ją powierzył. Przyrzekłem mu, że pozostanie tajemnicą. Przyłączam jej kopię (wyborne zaiste dotrzymanie przyrzeczenia, zachowania tajemnicy!) do listu, który mam zaszczyt pisać do W. K. Mości. Proszę zachować ją dobrze i pozwolić żądać jej oddania po mym powrocie. W. K. Mość przekona się z tego dokumentu, że P. Metternich obiecał Prusakom, nie, jak mi zaręczał, część Saksonii, lecz całą Saksonię, obietnica, którą przecież uczynił zależną na szczęście od warunku, którego niedopełnienie ją znosi. W. K. Mość przekona się jeszcze z tej noty, że P. Metternich oddaje Prusakom Luksemburg, zapewniwszy mnie poprzednio kilkakrotnie, że im nie będzie ustąpiony. Taż sama jeszcze nota odsłania oddawna ułożony projekt oddania Niemiec pod to, co się nazywa wpływem, a co będzie rzeczywiście pano-

waniem, absolutnem i wyłącznem, Austrii i Prus. Teraz zaręcza P. Metternich, że nie poświęci Saksonii. Co się tyczy Polski, dał mi do zrozumienia, że ustąpi wiele, co znaczy, iż ustąpi wszystko, jeżeli Cesarz Aleksander nie opuści.”

Raz więc jeszcze. Nie Austria, ani Metternich, lecz sam więziony król saski i małe państwa niemieckie stały się Talleyrandowi punktem oparcia w jego obronie niepodległości saskiej. Skuteczności jej dopomogły wygórowane pretensje pruskie, wreszcie silny i energiczny atak Talleyranda na słabość nerwów lorda Castlereagha. Kwestye podrzędnej wagi, jak restauracya małych książąt niemieckich, kantonów szwajcarskich, wziętych pod szczególną protekcję Cesarza Aleksandra na wstawienie się dawnego nauczyciela jego Laharpa; jak wyposażenie małżonki Napoleona i wice-króla włoskiego, jak uregulowanie stosunków na półwyspie apenińskim; zabawy i wizyty kongresowe, — przerywały bieg spraw, a nadewszystko nie dopuszczały szybkiego uregulowania dwóch naczelnych, o których była wyżej wzmianka. Sprawa Polski i Saksonii nie postępowała z miejsca. Pod koniec grudnia r. 1814 wystosowali reprezentanci Prus do kongresu notę, powtarzającą tylko w całej rozciągłości dotychczasowe ich pretensje do Saksonii. Była to owa kropla wody, przepełniająca szklankę. „Lord Castlereagh,” pisał Talleyrand pod dniem 28 grudnia do Ludwika XVIII, „przyszedł do mnie z tą odpowiedzią Prusaków, którą miał pozwolenie mi zakomunikować. Przeczytał mi ją. Traktowałem ich rozumowania jako sofizmy. Dowodziłem, że ich powagi są bez podstawy a ich przykłady bez siły ponieważ ani czasy, ani przypadki nie są te same. Z kolei rzeczy dałem do przeczytania lordowi Castlereaghowi notę moją do Metternicha. Odczytał ją bardzo spokojnie, przeczytał ją w całości i oddał mi ją bez wyrzeczenia słowa ani nagany, ani pochwały.

Celem jogo odwiedzin było mówić ze mną o komisji, jaką chciał ustanowić, aby sprawdzić obrachunki, przedstawione przez Prusy i Austrię. Odpowiedziałem, że nie mam przeciw temu nic do nadmienia, lecz że jeśli będziemy postępowali w tym przedmiocie, jak to czyniono dotychczas z wielu innemi, idąc na chybi trafi, bez podstawy i reguł, nie przyjdziemy do żadnego rezultatu; że trzeba więc zacząć rzecz od ułożenia zasad; że przed sprawdzeniem rachunków należy uznać prawa króla saskiego, że możemy w tej sprawie, on, Metternich i ja zawrzeć małą konwencję. Konwencją, odparł, przeciw to alians, co proponujesz? Konwencja ta, odpowiedziałem mu, może się bardzo dobrze zrobić bez aliansu, lecz będzie i aliansem, jeśli tego chcesz; co do mnie, nie mam nic przeciw temu. Lecz alians przypuszcza wojnę lub może do niej prowadzić, a my powinniśmy się starać uniknąć wojny. Myślę, jak Pan, trzeba wszystko czynić z wyjątkiem poświęcenia honoru, sprawiedliwości i przyszłości Europy. Wojna, odpowiedział, byłaby widziana u nas złem okiem. Wojna byłaby popularną u was, gdybyście jej dali cel wielki, cel prawdziwie europejski. Jakiż byłby to cel? Przywrócenie Polski. Nie odparł tej propozycji, a poprzestał na odpowiedzi: Jeszcze nie teraz. Zresztą dałem tylko podobny obrót rozmowie, aby go wybać i wiedzieć, do czego w danym razie byłby skłonny. Czy to będzie, powiedziałem mu, przez konwencję, przez noty, czy przez protokół, podpisany przez Pana, P. Metternicha i mnie, że uznamy prawa Króla saskiego, — forma jest mi obojętną. Rzecz sama jest tu tylko ważną. Austria, odpowiedział, uznaje *urzędownie* prawa króla saskiego; wy, uznajcie je także *urzędownie*; ja uznaję je *głośno*. Różnica między nami jestże więc tak wielką, aby wyma-

gała takiego aktu, jakiego żądasz? Rozłączyliśmy się po umowie, że się utworzy komisya, do której każdy z nas zamianuje komisarza.“ Po żywej sprzeczce z bratem lorda Castlereagha, Sir Karolem Stewarta, który zakomunikował Talleyrandowi, iż *sprzymierzeni* nie mają chęci dopuszczenia reprezentanta Francji do owej komisji, po zdobyciu przecież przez Talleyranda i tego stanowiska na reprezentantach innych kongresowych mocarstw, — przyszła owa komisya do skutku. Komisya owa w połączeniu z wiadomością o zawarciu pokoju między Anglią a Ameryką stała się źródłem i początkiem konwencji, mającej połączyć Anglię, Francję i Austrię. Wobec nie spuszczaćcych nic ze swych początkowych żądań pretensji Prusi Rosyi, oświadczył sam lord Castlereagh gotowość wystąpienia przeciw nim z czynnym oporem i zaproponował Talleyrandowi podpisanie osobnej w tym celu konwencji. Pociągnięty i ośmielony akcją Anglii, Metternich zgodził się na nią także. W razie wojny można nadto było liczyć na współdziałanie Bawaryi, Hanoweru i Niderlandów. Słynna ta konwencja została podpisana dnia 3 stycznia 1815 r. przez Talleyranda, Castlereagha, Metternicha. Talleyrand zawiadomił o jej zawarciu Ludwika XVIII dnia następnego, proponując bezzwłoczne wyprawienie generała Ricord do Polski, jako obeznanego dokładnie z tamtejszemi stosunkami. Król francuski nie omieszkiał z tej skazówki w te tropy skorzystać i sprowadził pomienionego generała z prowincji, gdzie się chwilowo znajdował, do Paryża, gdzie go zawiadomiono o jego tajnej misji do Polski i zaopatrzone w odpowiednie instrukcje.

III.

Nowy rok 1815 znaczy w dziejach polityki wielkiej europejskiej i kongresu ważny, epokę stanowiący zwrot. Początek kongresu w miesiącu wrześniu r. 1814 zastawał jeszcze Francję jakoby pod rodzajem interdyktu. Mimo obalenia rewolucji i reprezentującego ją w obliczu legitymizmu europejskiego Napoleona; mimo dokonanej restauracji i intronizacji Burbonów, uważała się koalicja przeciwnapoleońska za istniejącą ciągle jeszcze, co więcej za powołaną do dyktowania praw nowego porządku rzeczy europejskiego. Przekonywa nas powyższe opowiadanie, jak dzięki okolicznościom i tworzącym się nowo stosunkom, ale dzięki też niezaprzeczonej zręczności swego reprezentanta, Francja zdobywała sobie jedną pozycję po drugiej, jak ze stanowiska wskazanego na milczenie delinkwenta, wydobyła się przeciwnie na wyżynę słuchanej i poważanej potęgi. Zajawszy nasamprzód w gronie kongresowych mocarstw równouprawnione miejsce, przeprowadziła następnie w znacznej części program swój w Niemczech i we Włoszech. W Niemczech nie dostały się Prusom ani Luksemburg, ani Moguncya. Co ważniejsze, udało się jej, nie inaczej jak w najświetniejszej epoce Ludwika XIV i Napoleona uczynić z siebie punkt oparcia i opieki dla małych państw niemieckich, obawiających się ambicji pruskiej. Nie zupełny, ale ważny cokolwiek bądź był jej sukces w sprawie saskiej. Odniosła zwycięstwo w zasadzie, nie odnosząc go zupełnie w jej wykonaniu. Pod wrażeniem i naciskiem zgody Anglii, Francji i Austrii w tej kwestyi, spuszczały Prusy i Rosya z początkowego targu, proponując zamiast zagłady niezależności, podział Saksonii. Nie wystarczała, nawiasowo powiedziawszy, koncesya ta Francji, a o rozwiniecie jej na większe rozmiary miała się postarać konwencja z 3 stycznia 1815. We Włoszech ocaliła Francja według swego programu sukcesyą tronową młodszej linii rodziny panującej w Piemencie; dopuściła tylko dożywocie mał-

zonki Napoleona w Parmie, nie pozwoliła na osiedlenie się tutaj księcia Eugeniusza, byłego wicekróla włoskiego. Jedynym punktem, niezadowolonym na półwyspie apenińskim według programu francuskiego, pozostawała królestwo Murata w Neapolu, ku niesłychanemu zgorszeniu Talleyranda, odzywającego się z nią wszędzie, czy to wobec reprezentantów mocarstw europejskich, czy wobec samegoż reprezentanta Murata, księcia Campo-Claro, — ku większemu, o ile możności jeszcze Ludwika XVIII dbałego niesłychanie o prawa krewnego swego Ferdynanda. Na straży Murata stała obojętność angielska w połączeniu z traktatem z roku 1813, zaręczającym mu w zamian przystąpienia do koalicji królestwo neapolitańskie; stały dalej, co ważniejsza i skuteczniejsza razem, a o czym się po raz pierwszy z *Korespondencyi Talleyranda* dowiadujemy, — pewne dalej, bardzo bliskie stosunki między księciem Metternichem a królową Karoliną, małżonką Joachima Murata. Metternich nie powstrzymywał się nawet w obecności Talleyranda od objawów entuzjazmu dla uzurpatorskiej królowej Neapolu, a Talleyrand upatrywał w owym entuzjazmie właśnie główną przeszkodę urzeczywistnienia restauracyjnych planów Francji tamże. Trzeba dopiero było niedorzecznego, krzyżującego politykę samegoż Napoleona po powrocie jego z wyspy Elby, zbrojnego wystąpienia Murata przeciw Austrii, aby uczynić niemożliwym tron jego w Neapolu, aby w dalszem następstwie sprowadzić tyle tragiczny jego koniec.

Raził jeszcze legitymizm i restauracyjność francuskich burbonów, widok Bernadotte'a na tronie, czyli lepiej powiedziawszy, przy tronie szwedzkim. Tutaj jednakże pocieszał się ów legitymizm następną argumentacją. „Byłoby to wikłać tę sprawę i psuć ją (sprawę legitymizmu i restauracji), mieszając w nią, bardzo odmienną sprawę Bernadotte'a. Bernadotte nie przybył do Szwecji drogą zdobyczy, lecz przez adopcję panującego króla i za zgodą kraju. Nie jest królem, ale tylko domniemanym następcą. Nie można go zaczepiać bez zaczepienia króla, który go adoptował, króla, którego nawet zastępowany przezeń uważa za prawowitego, którego cała Europa za takiego uznaje i którego W. K. Mość uznał, zawierając z nim pokój bezpośredni. Dopóki król żyje, ma Bernadotte tylko prawa ewentualne, które wobec Europy są jakoby nie istniejące a stosownie do tego, spór, którego by mogły być przedmiotem, nie należy do kompetencji ani Europy, ani kongresu. Jest to bezwzględnie złem i złem bardzo wielkiem, że ten człowiek został powołany do następstwa tronu w Szwecji. Jestto jednakże złe, na które, jeśli istnieje lekarstwo, można go się spodziewać tylko od wypadków i czasu.“

Z tego ogólnego zestawienia szczegółów sytuacji europejskiej około Nowego Roku przekonywamy się tedy, że polityka francuska, odniósłszy na całej linii zwycięstwo, zahaczała się, prawda, że o dwie esencjonalnej wagi — kwestyą, polską i saską. Tu jednakże postarała się o zaręczenie sobie powodzenia przez faktyczne rozwiązanie tego, co się nazywało dotąd koalicją, przez stworzenie nowego systemu aliansów, pośród którego odgrywała naczelną, przewodnią rolę. Posłuchajmy pod tym względem znów własnej relacji samegoż Talleyranda w tchnącym promienną radością liście jego do Ludwika XVIII z dnia 4 stycznia 1814: „Duch koalicji i koalicja sama przeżyły pokój paryski. Korespondencya moja aż do dnia dzisiejszego dostarcza w tym względzie W. K. Mości aż nazbyt dostatecznych dowodów. Gdyby pomysł, jakie zastałem tutaj przybywając, były wykonane, byłaby się Francja znalazła na pół wieku odosobnioną w Eu-

ropie, nie znajdując w niej ani jednego dobrego stosunku. Wszystkie moje usiłowania zdążyły do zapobieżenia podobnemu nieszczęściu; lecz najsmielsze me nadzieje nie sięgały do tego, abym doznał tak zupełnego powodzenia. Teraz, N. Panie, jest koalicja rozwiązana i jest nią na zawsze. Francja nie jest nie tylko odosobnioną w Europie, lecz W. K. Mość posiadasz w niej system aliansowy taki, iż zdawało się, że przez pięćdziesiąt lat negocjacyi nie będzie mógł przyjść do skutku. Idzie W. K. Mość w zgodzie z dwoma największymi mocarstwami, trzema państwami drugiego rzędu (Hanawerem, Bawaryą i Niderlandami), a wkrótce ze wszystkimi państwami, trzymającymi się podstaw i zasad odmiennych odrewolucji. W. K. Mość będzie prawdziwie naczelnikiem i duszą tego związku, utworzonego ku obronie zasad, które pierwsza orzekała. Zmiana tak wielka i tak szczęśliwa może być tylko przypisana opiece Opatrzności, widocznej tak wyraźnie w powrocie W. K. Mości. Po Bogu były czynnikami tej zmiany. 1) Listy moje do P. Metternicha i lorda Castlereagha wraz z wrażeniem, jakie sprawiły; 2) Insynuacje, jakie w rozmowie, z której zdałem sprawę w ostatnim moim liście do W. K. Mości, czynił lordowi Castlereaghowi w przedmiocie porozumienia z Francją; 3) Starania, jakie podjąłem, by uspokoić jego podejrzliwość, dowodząc ze strony Francji najzupełniejszej bezinteresowności; 4) Pokój z Ameryką, który, pozbawiając go kłopotu z tej strony, zwrócił mu więcej swobody działania i dodał mu więcej odwagi; na koniec pretensye Rosji i Prus, spisane w projekcie rosyjskim, którego kopię mam zaszczyt dołączyć tutaj, a nadewszystko ten, z jakim te pretensye były przedstawione i podtrzymywane w konferencji, odbytej między pełnomocnikami ich i Austrii. Wyniósł ten tego pretensjonalnego i nadętego dokumentu dotknął do tego stopnia lorda Castlereagha, że, wychodząc ze zwykłego sobie spokoju, oświadczył, że rosyanie mają pretensyą dyktować prawa, lecz że Anglia nie stworzona na to, aby je z czyichś rąk odbierać. Wszystko to usposobiło go w pewnym kierunku, a ja skorzystałem z tego usposobienia, aby nalegać na zawarcie ugody, o której mówiłem mu od dawna; rozgrzał się do tego stopnia, iż mi zaproponował spisanie swych myśli pod tym względem. Dnia następnego po tej rozmowie przyszedł do mnie, a doznałem przyjemnej niespodzianki, skoro ujrzałem, że myślom swoim dał formę artykułów. Przyzwyczaiłem go aż dotąd bardzo mało do pochwał, co go uczyniło czulszym dla wszystkiego, co mu powiedziałem pochlebnego o jego projekcie. Żądał, abyśmy go przeczytali z uwagą, P. Metternich i ja. Wziąłem sobie na to godzinę wieczorną i uczyniwszy pewne małe zmiany redakcyjne, przyjęliśmy go we formie konwencji. W kilku artykułach redakcyja mogła być troskliwszą, lecz z ludźmi słabego charakteru trzeba się było śpieszyć; podpisaliśmy go tej nocy. Pośpieszam przesłać go W. K. Mości. Upoważniłaś mnie przez swe listy wogóle a w szczególności przez specjalne instrukcje z dnia 25 października przyrzec Austrii i Bawaryi *swe jak najmniejsze współdziałanie*, a stosownie do tego obowiązując się do wystawienia na rzecz tych dwóch mocarstw posiłków, jakich działające przeciw nim siły, w razie wojny, by wymagały. W. K. Mość upoważniłaś mnie do tego, nawet w przypuszczeniu, że Anglia pozostanie neutralną; otóż dzisiaj staje się Anglią stroną czynną, a z nią Niderlandy i Hanower, co czyni położenie Francji wspaniałem.“

Trudno o lepszą od powyższej charakterystykę sytuacji europejskiej w pierwszych dniach tyle pamiętnego roku 1815. Raz poczyniała się wraz z odpowiedniami do tego obustronnie przygotowaniami ol-

brzymia gra, znajdująca przez kilka tygodni przed zawarciem i po zawarciu konwencji z 3 stycznia, swe przedwstępne symptomy w znaczącej podróży W. ks. Konstantego do Warszawy i w wydanej przezeń nie mniej znaczącej odezwie do wojska polskiego, we Wiedniu zaś samym o koncesyach połowicznej natury, jakie Prusy i Rosya poczęły czynić na rzecz niezależności Saksonii. Bogu wiadomo, jakieby się z podobnie naprężonej sytuacji były wywiązały następstwa, jakieby z nich dla naszego kraju mianowicie były wyniknęły skutki, jakiego w razie wojny licytacyjnego targu byłibyśmy się stali przedmiotem. Tymczasem uderzył w tak pracowicie, umiejętnie i szczęśliwie zasnutą tkanę systemu polityki francuskiej powrót Napoleona z wyspy Elby. Nie przewidziany ten wypadek zagodził od razu wszelkie niesnaski kongresowych mocarstw, zjednoczył w jednym, wspólnem usiłowaniu powtórnego obalenia Napoleona, ocalił Rosyą i Prusy od bardzo groźnej i niebezpiecznej wojny, oszczędził ówczesnej Europie kosztem czterodniowych zapasów na równinach Belgii nierównie groźniejszego pożaru wojennego, któryby w sercu Europy był wybuchnął, a szerzył się i trwał, Bóg wie, jak daleko i jak długo. Z chwilą powrotu Napoleona z wyspy Elby, widzi naturalnie Talleyrand usuwający mu się grunt pod nogami we Wiedniu. Budowa jego polityczna kruszy się i rozpada, stanowisko staje się niemożliwym. Z początku, kiedy sukces Napoleona jeszcze wątpliwy, jest jeszcze reprezentant Francji burbońskiej pełen otuchy i umie ją utrzymać w otoczeniu dyplomatów europejskich. Następnie przecież, gdy „orzeł CesarSKI siada, według wyrażenia odezwę Napoleona z zatoki Juan, na wieżach Notre Dame paryskiej, by liliom Burbonów pozwolić wędznąć na obcym gruncie w Gandawie, — maleje i rola Talleyranda. Z reprezentanta wielkiego mocarstwa wychodzi na emigranta, a wszelkie usiłowania jego streszczają się odtąd, aby wobec objawiającej się pośród monarchów i dyplomacji europejskiej we Wiedniu coraz więcej zimnoty dla Burbonów, aby wobec wyrzeczanej przez Cesarza Aleksandra myśli zastąpienia ich młodszą linią Orleanów, ocalić przynajmniej prawa monarsze starszej. Usiłowania te wieniczy pożądanym skutkiem; areopag europejski, zgromadzony we Wiedniu, zgadza się wreszcie z pewnym chłodem na utrzymanie Burbonów, jako przyszłego rządu Francji. Zczem za to Talleyrand równocześnie mniej szczęśliwy, to w pracy przekonywania bawiego na wygnaniu gaudawskim dworu burbońskiego o potrzebie rozsądnej, zastosowanej do okoliczności polityki, a choćby tylko o konieczności redagowania oficjalnego ich organu, *Journal de Gand*, w praktycznem politycznie kierunku. Kończy się wreszcie jego stanowisko kongresowe wraz z rolą polityczną pod Burbonami wyjazd do Gandawy w czerwcu 1815 r.

Niechaj nam jeszcze z epoki stu dni jako szczegół, nie mający bezpośredniego związku z działalnością polityczną Talleyranda, ale bezpośrednio nas dotyczący, będzie wolno przytoczyć w dostojnem brzmieniu dokument, poświadczający, jak dalece kongres wiedeński za odebraniem wiadomości o powrocie Napoleona z wyspy Elby był skwapliwym w dezorganizowaniu służących mu do powodzenia środków. „Do pułkownika Jerzmanowskiego lub w razie jego nieobecności do zastępującego go oficera. Na mocy rozkazu J. C. Wysokości W. księcia Konstantego, naczelnego dowódcy wojsk polskich W. Księstwa Warszawskiego, posyłam panu następujący rozkaz, za odebraniem którego zechcesz bez wdawania się w rozmowę z kimkolwiek bądź, udać się do Warszawy z oddziałem polskim, który przyprowadziłeś z wyspy Elby i od-

Bierać także dalsze rozkazy od generała dywizji, hr. Wincentego Krasieńskiego. Zakomunikujesz kopię tego rozkazu generałowi, pod którego komendą się znajdujesz, uprzedzając go, że J. C. Wysokość zaleciła ci, pod najsurowszą odpowiedzialnością osobistą, wypełnić ściśle i bezzwłocznie rozkaz tenże z chwilą jego odebrania. Dołączone tu rozkazy rządu francuskiego upoważniają cię do żądania marszruty u władzy kraju najbliższego miejsca, w którym się znajdujesz. Co się tyczy zapłaty twego oddziału i zaległości, jakieby mu się należały, udasz się piśmiennie do pułkownika Jankowskiego, w Paryżu, doręczając mu równocześnie imienną listę wraz ze wszystkimi dowodami potrzebnymi i przepisami na tego rodzaju przypadek. Prześlesz również raport P. Tołłskiemu, naczelnikowi sztabu generalnego J. C. Mości W. ks. Konstantego, oznaczając mu dzień, kiedy ruszysz w pochód, etapy, jakie ci będą wskazane i opisując stan, w jakim się twój oddział znajduje. (Podp.) *Generał brygady, Krukowiecki.* Rzeczą wiadomą, że rozkaz ten wykonany i usłuchany nie został, a że pułkownik Jerzmanowski pozostał w armii napoleońskiej, walczył pod Waterloo, a następnie, nie wracając już do Polski, osiadł we Francji.

Po tym, obcym głównej rzeczy naszej epizodzie, kilka słów jeszcze tylko o dziele, z którego zdawaliśmy sprawę. Nie podobna zaprzeczyć obfitości mieszczącego się w niem materiału historyczno-politycznego; zawiera go nieporównanie więcej od pamiętników Metternicha, stanowi ważny przyczynek do dziejów kongresu wiedeńskiego. Co się tyczy samegoż jego autora czy bohatera, nie podobna równie zaprzeczyć, że wśród sytuacji arcytrudnej, ze środkami niedomagającymi, umiał z niepospolitą zdolnością i zręcznością wybrnąć nie tylko na suchy brzeg, ale co więcej, przywrócić zwyciężonej, zmalełej, zdepopularyzowanej na zewnątrz i wewnątrz pod restaurowaną dynastją Francji stanowisko i powagę pierwszorzędnego państwa europejskiego. Nie dość i na tem jeszcze: zdołał utworzyć koalicję przeciw koalicji, koalicję, która miała dobyć miecza w celach, które wskazuje tak niedwuznacznie przytoczona wyżej rozmowa jego z lordem Castlereaghiem. Powrót Napoleona z wyspy Elby przekreślił jednym zamachem całą tą robotę. Zadał cios śmiertelny Talleyrandowi, jako mężowi stanu, bo nie pozwolił mu uświęcić jego roboty wieńczącem dziełem sukcesu; zadał nie mniej zgubny cios Francji i jej znaczeniu europejskiemu; zniweczył wreszcie wielkie przedsięwzięcie, które się z jej inicjatywy i pod jej patronatem, a za współdziałaniem pięciu innych państw w sercu Europy z tak nieobliczonymi następstwami przygotowywało.

J. N.

KORESPONDENCE PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

(Dokończenie).

Blizsza znajomość Heleny z komuną kobiecą zaczęła się nazajutrz po jej poznaniu, kiedy się już przeniosła do niej, w charakterze nowego członka. Znajomość ta jednak nie wypadła na korzyść owego stowarzyszenia, a zdziwienie, lub niezadowolnienie kolejno następowały po sobie w jej duszy. Kobiety, mieszkające tam, żyły wprawdzie samodzielnie, utrzymywały się własną pracą i uczęszczały na rozmaite odczyty publiczne, będące wówczas w wielkiej modzie; pomimo to jednak troska o chleb powszedni nie dawała im wcale swobody umy-

ślu i przygnębiała ich moralnie do takiego stopnia, że często podnioslejsze strony życia znikły im z przed oczu, a drobiazgi powszednie i uprzedzenia wszelkiego rodzaju grały tu też samą rolę co i w każdym innym kółku towarzyskiem, z różnicą tylko bardziej pośledniej i pozbawionej wszelkiej elegancji formy. O pracy systematycznej dla własnego wykształcenia, lub dobra ogólnego nie podobna było nawet marzyć w takich, jak tu warunkach; to też Helena, pomimo to, iż dzięki staraniom doktora dość łatwo dostała miejsce w kantorze pewnego przemysłowca, nie mogła się zadowolić życiem, które sobie stworzyła, czując dobrze, że jej potrzeba takiej pracy, takiej sprawy, której mogłaby się oddać całą, wszystkimi siłami swego ducha. Wypowiadała to ona nieraz doktorowi Pojarkowowi, uważając go za jedynego człowieka w swem otoczeniu, który był zdolny odczuwać te same walki i porywy i tak samo jak ona wszystko gotów był poświęcić dla celu, świecącego gdzieś w oddali. Doktor stał się dla niej uosobieniem najczystszym „człowieka nowego,” bez wszystkich tych cech przykrych, które raziły jej dobre wychowanie i smak estetyczny w innych typach pseudo-nowych ludzi. Zapół Heleny, z którym jej było bardzo do twarzy, zachwyca go chwilowo, nie zdolny był jednak poruszyć głębiej rozumnego — ale przedewszystkiem praktycznego i egoistycznego doktora. Ukrywając starannie ostatnie tecechy swego charakteru przed wzrokiem niedoświadczonej dziewczyny, stał się rzeczywistym przewodnikiem jej w nowym życiu, znajomiac ją z rozmaitemi jego stronami, towarzysząc na zebrania stowarzyszeń zaliczkowych, na których czele stały damy arystokratyczne, członkami zaś byli mężczyźni i kobiety, należący po większej części do proletariatu umysłowego, *bohemi* literackiej, młodzieży nihilistycznej wszelkiego rodzaju. Nielad tych zebrań, krzycząca różnica zdań, upor bezmyślny i nieustanne upatrywanie eksploatacji (słowa naówczas modne) tam nawet, gdzie ani śladu jej nie było, raziły często Helenę, ale uczyła się od doktora nie być za nado wymagającą względem tych „pionierów, którzy rozwinęli namioty swoje wśród nowoodkrytej pustyni.” Walka i niezadowolenie wewnętrzne trapiły ciągle Helenę, w nadziei jednak lepszej przyszłości i nowego kierunku życia, trwała przy swoim, tembardziej, że nowe uczucie ku młodemu doktorowi napelniało pierwszy raz jej serce; z jego to pomocą marzyła ona o zdobyciu szczęścia dla cierpiącej ludzkości, nie wątpiąc, że nie pomyśli wcale wyrzec się Petersburga, praktyki, stosunków, nauki nawet teoretycznej, i osiedlić się w głuchej wsi jakiej — wśród włościan. Myśl o włościanach, pod wpływem usposobienia ogółu i wprowadzanej przez rząd reformy, gościła coraz częściej w jej głowie; życie ich zajmowało ją coraz to bardziej i zaczęła ona rozumieć, że tam na wsi prawdziwa praca, tam cel jej życia, ale nie w stolicy, gdzie siły idą na marne. Kwestya uwłaszczenia była wówczas na dobie, nikt nie wiedział jeszcze napewno, w jaki sposób będzie ona urzeczywistniona, o ile więc nadziei i radości było w jednej połowie społeczeństwa — o tyle obawy i rozpacz prawie w drugiej. Helena zastanawiając się nad stosunkami majątkowymi swojej rodziny, usposobieniem ojca, człowieka dawnej daty i dorastającego brata, z niepokojem prawdziwym myślała o tem, jaki charakter przyjmie to uwłaszczenie w ich majątku. Z drugiej zaś strony wiedziała, że miłutka i dobra kuzynka jej Liza miała wszelkie prawa do głównego ich majątku ziemskiego, jakkolwiek prawie z trudnością można było tego dowieść. Dowody jednak zawierające się w listach, znajdowały się w ręku jednego z sąsiadów, na którego pomoc Helena mogła zawsze liczyć. Opuszczając dom rodziców, Helena, w liściku

do ojca pisała, że w takim tylko razie powróci do domu, jeżeli on wypłaci Lizie sumę, odpowiadającą cenie majątku. Wiedziała ona, że jej krok stanowczy zmusi ojca do ustępstwa, okupującego powrót najukochańszej córki. Czekala więc, pozostawiając mu czas potrzebny na zebranie tak znacznej sumy. Teraz jednak, przejęta całkiem myślą uwłaszczenia, marzy o innej kombinacji — a mianowicie o oddaniu nie już kapitału, lecz samego majątku w ręce Lizy i jej narzeczonego, owego sąsiada Arbelina, pewna, że przy nich reforma pójdzie najlepiej. Tymczasem nastąpiła jesień, a z nią jak zwykle powrót rodziny jej do Petersburga. Kuzynka Liza pierwsza przyszła ją odwiedzić, wystawiając jej smutny stan opuszczonego i chorego ojca i błagając o powrót. Helena mówi jej o swych planach i nowych warunkach, dowiadując się nawzajem, że pomimo to, iż ojciec stara się wszędzie o pożyżnienie kapitału dla wypłacenia siostrzenicy — dotąd jednak mu się to nie udaje, dzięki temu, że czas przejściowy zachwał wszędzie kredyt właścicieli ziemskich, przyszła wartość majątków jest bardzo nieokreślona. Narzeczoną Lizy, Arbelin, potwierdza wszystkie jej słowa, namawiając ją zarazem do powrotu do domu. Tymczasem plany Heleny nabierają prawdopodobieństwa w sposób bynajmniej nie spodziewany. Przemysłowiec, w którego kantorze pracuje młoda panienka, jest także typem nowym: „młody kupeczyk, elegant, wieczorem marzący o rozmaitych utopiach i emancypacjach, ranki zaś spędzający na zręcznem załatwianiu ojcowskich interesów.” Otóż serce tego milionera uległo także czarującemu wpływowi Heleny, ale nie odważy się napomknąć jej o tem, wiedząc od swego znajomego, doktora Pojarkowa, o uczuciu łączącym z sobą dwoje młodych ludzi. Poznał on dobrze Pojarkowa i zapytany o niego, przez przyjaciela swego Arbelina, nie zbyt pochlebnie, chociaż bezstronnie kreśli jego charakter. Od Arbelina też dowiaduje się o stosunkach rodzinnych Heleny jak również i jej marzeniach.

Zakończany milioner decyduje się pożyżczyć ojcu sumę żadaną, a nawet znacznie przewyższającą wartość majątku, pod warunkiem, że wsie mają przejść w jego ręce, jeżeli kapitał nie zostanie wypłacony w ciągu roku. Stary, wierzący zawsze w świetny los rozmaitych spekulacji, z radością wielką pożyżcza, nie wiedząc nic o znajomości kupca z jego córką, ta zaś ostatnia, dowiedziawszy się o całej sprawie od Arbelina i samego przemysłowca, przyklaskuje mu z całego serca. Nie znając wcale motywów jego rzeczywistych, wierzy, że powoduje się on tylko dobrze zrozumianym interesem przemysłowym, również jak i dążnościami liberalnemi, które zniewalają go do darowania ziemi włościanom, założenia szkoły, szpitala etc. Człowiek ten, w gruncie dobrego serca a głównie zaś zakończany, proponuje jej samej zająć się czasem na miejscu urzeczywistnieniem tych planów, w pewnej nadziei, że ojciec nigdy nie będzie w stanie zapłacić sumy zastawowej po roku; tymczasem zaś Helena, zgadza się na powrót do rodziny, kiedy ojciec, nie wiedząc o planach późniejszych, płaci siostrzenicy sumę należną, według pierwotnej umowy. Helena, znalazłszy się znowu w kółku domowem, czuje się dobrze i wesoło, tem bardziej, że ukochany jej Pojarkow jest przyjętym przez ojca jako jej narzeczoną i nawet dzień ślubu już wyznaczony wraz ze ślubem kuzynki i starszej siostry. Zaufanie jej jednak bez granic dla tego człowieka okoliczności wystawiają na dość poważne próby; dowiaduje się ona o pewnej młodej panience, należącej także do liczby istot porwanych przez nowe prądy życia, ukochanej nigdy Pojarkowa, którą później opuścił, pomimo jej najgorętszej miłości, dla tego, że zaczynała wiedzieć po śmierci dziecka, która go, przeciwnie, wca-

le nie zdawała się smucić; nie kochając jej jednak, nie przestawał już później podtrzymywać i drażnić jej uczucia. Nieszlachetne to postępowanie oburzyło Helenę, a tłumaczenie się narzeczonego nie zadowoliło jej wcale; zaznajamia się ona z tą nieszczęśliwą istotą, która się uważała za żonę Pojarkowa i długo oczekiwała spełnienia obietnicy co do połączenia się z nią ślubem.

Wątpliwość zakrada się w jej serce, ale miłość, trwająca w niem zawsze, toczy z nią zawziętą walkę; stara się ona przekonać, że jej wybrany godzien jest tego wyboru i wraz z nią pójdzie po tej drodze życia, którą jedynie uważa za prawą. Nowe fakta jednak wystawiają go znowu w bardzo niekorzystnym świetle — pod innymi już względami, i odmawia on współudziału w sprawie, której ofiarą padł ojciec jego, w sprawie udzielania pomocy wygnańcom; fakt ten i pobudki jego, stanowczo składają się w jej oczach na wyrok dla niego, który przyspiesza jeszcze tragiczna śmierć szalonej Wariuszy, owej nieszczęśliwej kochanki jego, (wyskakującej z 4-go piętra ku wielkiemu zdziwieniu rodziny, niewiedzącej o tych okolicznościach, z wyjątkiem kuzynki). Rozstaje się ona z narzeczoną i na ślubie Lizy i siostry wygląda raczej jako trup chodzący, aniżeli jako panna młoda. Na wiosnę znowu rodzina cała wyjeżdża na wieś; nadzieje ojca na wybory i urzędy spełzły na niczem, ścięty powiewem nowego wiatru, walczy z nim bezsilnie, z rozpaczą chwytając się każdego kawałka odmierzonej włościanom ziemi za najmniejsze ustępstwo. Helena, pielęgnując chorego ojca, z trudnością stara się go wytłumaczyć i przebaczyć mu tę marną walkę. Nakoniec choroba przywala go ostatecznie i złamany starzec — umiera.

Termin zakładu minął dawno i majątek przeszedł w ręce bogatego przemysłowca; Helena w roli plenipotentki właściciela, mieszkającego w Petersburgu, oddała się duszą całą ukochanej sprawie, włościanom darowano grunta, we dworze co rana schodziły się dzieci wiejskie, uczyć się pod kierunkiem nauczyciela i nauczycielki, sprowadzonych przez Helenę. Ona sama mieszkała tam także wraz z siostrą i całe kółko młode było szczęśliwe, z zapalem oddając się pracy, i z miłością śledząc za jej rezultatami.

Nie wszędzie uwłaszczenie poszło tym samym trybem, wyjątkami obywatele tylko darowywali grunta, wszędzie zaś, jak wiadomo, włościanie obowiązani byli płacić za nie skarbowi. Obowiązek ten z trudnością wielką mieścił się w głowie włościanom i często prowadzili oni z komisarzami, (na przykład z Arbelinem) takiego rodzaju rozmowy: „za ziemię płacimy, tak samo jak ojcowie i dziadowie nasi od wieków płacili, Cesarzowi pogłówne (poduszne), z jakiegoż to powodu stała się ona teraz waszą (obywatelską) i po co mamy jeszcze ją wykupywać?”

— Nie, przyjaciele moi, płaciliście nie za ziemię, ale za duszę.

— E, panie, czy dusza nasza cokolwiek warta?

— Zapewne że warta, jeżeli ją kupowano. Włościanin odchrząknął.

— Prawda, Aleksieju Piotrowiczu, że kupowano, toć i dyabeł, powiadają, kupuje, ale teraz niewola ta z nas już zdjęta, swobodę dano, przecież dano — wszak prawda, jak panu się zdaje?... chcesz nas pan oszukać, nie tak postępujesz jakby się należało...”

Komisarze upadali pod ciężarem rozmaitych pretensyj — włościanie nie wiedzieli często, czego im było potrzeba, z drugiej zaś strony obywatele najniesprawiedliwsze często stawiali żądania w obec ludzi, którzy według ich zdania powinni byli, będąc sami obywatelami, podtrzymywać i sprowadzać de facto całą reformę do zera.

Niedługo jednak małe kółko wiejskie, którego ognisko stanowiła Helena, mogło swobodnie się rozwijać. Tysiączne insynuacje i plotki pozbawione najmniejszej podstawy zagroziły im z różnych stron; władze miejscowe patrzyły podejrzliwym okiem, aż zawaiał wiatr złowrogi, porwał z sobą nie wiadomo dokąd doktora, później nauczycielka gdzieś znikła — aż w końcu zmiotł on wszystko; dwór stanął pustką, nie słyhać już w nim było dziecinnych głosów, nie widać młodych pracowników! Helena przeniosła się do kuzynki Lizy. Przykro jej było pędzić życie bezczynne, w ciszy wiejskiej, marzyła znowu o życiu innym, chciała się jej rozszerzyć własny horyzont umysłowy, po smutnych próbach pracy dla „młodszych braci.”

Pewnego dnia tarantas pocztowy zatrzymał się przed gankiem, z niego wyskoczył petersburski znajomy, dobrodziej i właściciel wsi — ów przemysłowiec Skrypczew. Helena przyjęła go serdecznie, bardzo byli radzi szwagier i kuzynka, sprzymierzeni młodego kupca, zakochanego w Helenie. Nadzieja zaczynała wstępować w ich serca, doktor, zdawało się, na wpół już był zapomniany, wspaniałomyślność fabrykanta zjednała mu przyjaźń młodej pani. Należało tylko postępować z nią bardzo politycznie, tak żeby w żadnym razie nie mogła się domysleć, iż główna, pobudka tej wspaniałomyślności była czysto osobistego charakteru, że chęć podobania się jej i pozyskania jej wdzięczności zniewoliła go do tak pięknego zachowania się. Tymczasem zwykła zrzeczność Lizy zawiadła ją podczas pewnej rozmowy z Heleną; zasłona spada z jej oczu — i cała bezinteresowność przemysłowca zupełnie inne przybiera w jej oczach barwy. Wypowiada to ona biednemu zakochanemu, zachowującemu się jednak bardzo delikatnie — i ostatecznie postanawia jechać do Zurichu — zdobywać tam wiedzę.

Szwagier, któremu się zwierza, zostając się z nią na dworcu kolei, stara się ostrzedz ją przed niebezpieczeństwem zetknięcia się zbyt ścisłego z kółkami politycznymi, których działalność naprowadza tak częste prześladowania i pozbawia kraj inteligencji:

— „Proszę się zastanowić — do czego doprowadzą te klęski naszą biedną, rzadko rozsianą, zaledwie wyglądającą z nawpół zmarłej ziemi inteligencją. Znalazłszy się pomiędzy ludem, który jeszcze nie umie jej ocenić, gdyż dotychczas nie ona jemu nie dała, a mechanizmem kancelaryjnym, uważającym ją, jak wszystkim co żywiej oddycha za swego przyrodzonego wroga, zostanie ona startą na miazgę, zduszoną i Rosya, silna materialnie, będzie skazaną na wieczne dzieciństwo moralne. Tegoż to powinniśmy życzyć?”

Na tem kończy się powieść, pozostawiając dalsze losy Heleny domyślności czytelnika, który żyje już w innych czasach i widzi niemało klęsk takich, o jakich mówi Arbelin. Może z takiej Heleny wyrobi się tylko zapalona miłośniczka nauki, doktor na przykład w rodzaju pani Susłowej, może zaś Wiera Zasulicz lub Perowska.

R.

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki, skreślił Jan Finkelhaus. Warszawa, 1881.

Na trzy główne działy daje się podzielić całą literaturę podróżyopisarską; pierwszy obejmuje dzieła traktujące naukowo a specjalnie pewne gałęzie wiedzy, a więc opisy fauny i flory, klimatu i warunków ro-

zwoju; drugi, reprezentowany najliczniej przez dzieła misjonarzy, zawiera opisy etnograficzne i etnologiczne, służące jako materiał ściśle naukowy, wreszcie trzeci — odzwierciedlający wrażenia turysty i łączący w sobie wskazówki przewodnika dla przyszłych turystów. Każdy z tych działów ma swe znaczenie w literaturze, tak naukowej jako też lżejszej, służącej gwozi zabawy i miłego spędzenia czasu.

Książka p. Finkelhausa, biorąc ściśle, nie dałaby się zaliczyć do żadnego z tych działów; wprawdzie sądząc z tytułu, autor kreśli ją pod wrażeniem pobytu w Algierze i Tunisie i osobiste swe poglądy i przeżyte zdarzenia szereguje w jeden obraz. Atoli brakuje tej książce prawdy; wiele ustępów, należących nawskróś do świata fantazyi miesza się z odniesionymi wrażeniami — tak, że odróżnienie prawdy od utworów wyobraźni staje się prawie niemożliwym, brakuje zaś zupełnie nitki przewodnika, a odczytawszy uważnie książkę p. Finkelhausa nie dowiemy się żadnych praktycznych wskazówek.

Obrazki p. Finkelhausa zaliczamy do literatury powieściowej, tak bowiem treścią, jako też formą najbardziej są zbliżone do tego rodzaju utworów, których przedmiotem jest pogawędka w kole znajomych o doznanych wrażeniach i przebytych przygodach, bez pretensyi do nauczania słuchacza a z dość silną dozą bujnej wyobraźni.

Podobne utwory muszą nieodzownie posiadać zaletę zainteresowania i utrzymania w ciekawości czytelnika, sam narrator musi, chcąc nie chcąc, zostać bohaterem opowieści, około jego osoby powinien się skupić interes czytelnika, którego cprawdza po nieznanych krainach. To też i książkę p. F. będziemy jedynie z tego punktu widzenia oceniali, bowiem ze względu na treść nie należy ona do żadnego z trzech działów literatury podróżyopisarskiej, o których poprzednio pisaliśmy.

Wr. 1878, podczas pobytu w Paryżu, zapoznał się p. F. z dr. Landowskim, założycielem stacji zimowej dla chorych w Algierze i prawie bez namysłu dał się nakłonić do zwiedzenia Algieru, którym autor zachwyca się, kreśląc swe słowa stylem zmarłego Kremiera. Promienie, tkanki, motylki, zieloność, kwiaty i skały — wszystko jest cudownie pięknem w oczach naszego turysty; sama nawet natura jest tak uprzejmą, że chcąc się ukazać podróżnikowi w godowych szatach obmywa swe oblicze przynajmniej raz a często dwa razy dziennie — a czyni to mniej więcej do połowy książki, co tem bardziej nas zadziwia, że autor na innym miejscu informuje czytelnika, iż deszcz jest rzadkim gościem w północnej Afryce, gdyż pada tylko 95 razy do roku i w dodatku nie dłużej nad jedną lub dwie godziny (str. 43).

Tam gdzie autor porusza się na gruncie francuskim, jest w otoczeniu kolonistów lub kreśli rozmowy z arabami, mówiącymi z kiego po francusku — tam jest p. F. swobodnym i naturalnym, a chociaż tu i owdzie widnieje przesada, zwłaszcza w rozmowach z paniami, ustępy te czyta się z łatwością a nawet przyjemnie, lecz w chwili, gdy autor wstępuje w krainy materialne a tembardziej umysłowe arabów-kabyłów, stają się napuszonym, werwa deklamatorska ogarnia go nawskróś, zamiast uczucia spotykamy sentymentalizm, a zamiast obrazowości wschodniej, nieprawdopodobne dytyramby. Dziwnem się to wydaje, gdyż p. F. posiada bezstronny pogląd, potrafi nader zgrabnie i pełne finezyi aluzje łączyć z opowieścią afrykańską, a jednak dość kilku arabskich mędzów a jeszcze bardziej kobiet, by wszystkie te zalety ulotniły się, a pozostała jedynie ekliwa deklamacja, której szczytem są słowa nakreślone do albumu córki Kaida (str. 131) i niemal cały rozdział, zatytułowany: *Rozstanie* (str. 167).

P. F. poszedł widocznie śladem francuskich i po części niemieckich podróżopisarzy, którzy napuszonym stylem starają się wschodnim krajom nadać koloryt miejscowy, łącząc pojęcie ludów wschodnich z ognistymi i wytwornymi poezjami arabów, persów, żydów etc. Rzecz dziwna jednak, że angielscy pisarze n. p. Huxley i inni, mimo, że szczegółowo opisują Arabię, Syryę i inne kraje zamieszkałe przez wschodnie ludy nigdy nie używają parabol, górnolotnych przenosi, rzadko kiedy kładą w usta wyznawcom Mahometa słowa Koranu, jednym słowem malują nam ludzi z krwi i ciała, o niższym względnie do nas stopniu cywilizacji — a jednak fotografują i kraj i ludzi.

Rozdziały *Życia ajadów, Selin i Zohra* i kilka pomniejszych ustępów naśladują opowieści *Z tysiąca i jednej nocy*; autor umiał je owiać poezją i udratyzować.

Usterki powyżej wskazane mają swe źródło po części w nieznajomości języka arabskiego. Przedstawmy sobie n. p. Wiktora Tissota, nieumiejącego słowa po polsku i rozmawiającego z górą albo tatrzańskim albo huculem; czy przy najlepszych chęciach turysty i tłumacza odkryje nasz chłop swe troski, bóle, radości i nadzieje; czy zwierzy się z swych wrażeń i snów? Jeśli nasz chłop tak postępuje, to coś dopiero arab nienawidzący, jak sam p. F. często wspomina, wszystkich cudzoziemców; a jednak przed autorem arabowie zwierają się z swych tajemnic; co do nas, wogóle nie wierzymy w te spożycie po jedno lub kilka godzinnej znajomości.

Dawniejszymi czasy pisma humorystyczne uważały za swój punkt honoru wyśmiewać i przedrzeźniać archeologów i archeologię, niemogli bowiem ci uczeni męzowie zrozumieć i ocenić znaczenia wykopalisk i studyów archeologicznych dla historii cywilizacji; — głosy te po znakomitych pracach angielskich i niemieckich uczonych przycichły, a nawet ustały zupełnie, odrodziły się i zmartwych powstały jednak w książce p. F., który z dziwną zaciętością szuka dowcipu wśród ruin i gruzów i dosiada z ochotą konika anti-archeologicznego, by kilkoma mniej lub więcej zręcznymi frazesami pokryć nieznajomość przedmiotu.

Język autora nie zawsze jest wolny od błędów n. p. radość *wybitniata* wszędzie (str. 154); znów *gołe* milczenie (292), mylnie życie zaimka *sobie* spotkaliśmy kilka razy (n. p. str. 13).

Jeśli p. F. pozbędzie się zbytecznej fantazyi, bardziej ukocha prawdę i zechce nam dać wierny opis podróży i kraju, na który będzie spoglądał okiem polaka — nie wątpimy, że przy nabytej już technice pisarskiej da nam rzecz godną jego talentu.

A. G.

W PERSPEKTYWIE.

Z powodu zamieszczonego w Nr. 30 *Prawy* artykułu o pełnomocnikach gminnych odebraliśmy pismo od „jednego z wieśniaków“ zwracające uwagę na przeszkody jakie ich ustanowienie ze strony władz gminnych spotyka. Korespondent cytuję fakty, że w jednej gminie pełnomocnicy raz tylko dopuszczeni byli do sprawdzenia rachunków, że w innej wcale do swych obowiązków przez pisarza wezwani nie zostali. Konkluduje autor listu, że dla zabezpieczenia należytego korzystania z praw, należałoby przede wszystkim „zmienić“ pisarzy gminnych.

Nam się zdaje, że argumenty szanownego korespondenta nie są tak silne za jakie je przedstawia, i że na zapytanie, co tacy

pełnomocnicy zrobić mogą, odpowiedź nie jest tak trudna. Znadto dobrze znamy stosunki wiejskie, żebyśmy mieli nie uznawać trudności, jakie każde niemal usiłowanie pracy obywatelskiej napotyka. Wiemy jednak również, że przeszkody te nie są tak znów silne, żeby aż w obec nich ręce opuszczać należało. Nie przeczymy, że w pierwszych chwilach pełnomocników gminnych spotka niejedna nieprzyjemność i utrudnienie w należytem funkcyonowaniu. Lecz trzeba się na nie zaryzykować i znieść jak rzecz, na którą się jest przygotowanym, a czasem sprawy się zmieniają. Sądzimy, że pełnomocnicy energiczni potrafiliby zmusić kogo należy, żeby ich więcej niż jeden raz dopuszczano do sprawdzenia rachunków, a tembardziej upomnieć się o wezwanie należyte do wykonywania z prawa im należnych czynności. Szanowny korespondent stawia jako warunek porządnego funkcyonowania spraw gminnych zmianę pisarzy. Jeżeli idzie tu o usunięcie całkowite tej instytucji, to jest to nie możliwe, boć przecie ktoś czynności pisarzy wykonywać musi czy pod tą nazwą czy pod inną.

Jeżeli znów mowa jest o zmianie osobistości to zdaje nam się, że pełnomocnicy gminni, zyskawszy sobie poważanie i zaufanie ogółu, mogliby stanowczy wywrzeć wpływ na wybór osób na te stanowiska. Przedewszystkiem jednak trzeba sobie jak wszędzie i we wszystkim znaczenie i powagę *wywalczyć*. W każdym razie uważamy sobie za obowiązek wskazywać ogółowi wszystkie prawa, jakie mu służą, choćby nawet wykonanie ich ze stokroć większymi połączone było trudnościami. Można nie wszystkiemu poddać, lecz nie wolno nie wiedzieć co nam wolno, i o co dopominać się mamy prawo. Tą tylko drogą dochodzi się do wszechstronnego rozwoju.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 września.

Wypadkiem chwili obecnej jest śmierć prezydenta Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki. Wiadomość ta, przyniesiona do Europy, tem boleśniejsem odbiła się echem, że biuletyny o zdrowiu Garfielda poważne nasuwały nadzieje. Nie potrzeba dowodzić, jak sympatyczną postacią był zmarły prezydent Stanów Zjednoczonych, człowiek, który o własnych siłach z najniższego stanowiska potrafił dobić się do steru władzy państwa. Jaką opinią cieszył się Garfield w Europie dowodzą przychylne a obszerne wzmianki, pomieszczone we wszystkich organach europejskiej prasy.

Dla Ameryki śmierć prezydenta jest dotkliwą stratą, już z tego powodu, że na jego miejsce wstępuje obecny wice-prezydent, sir Arthur, reprezentant tej partii politycznej, której ofiarą padł Garfield. W myśl bowiem konstytucji amerykańskiej, w razie śmierci prezydenta do końca trzylecia sprawami kraju zarządza w tym celu wybierany wice-prezydent. A ponieważ partya, traktująca urzędy publiczne jako pole dogodnego wyzysku, potrafiła na to właśnie stanowisko wprowadzić swego reprezentanta w osobie sir Arthura, przeto w jej ręku spocznie obecnie ster kraju. Wprawdzie śmierć Garfielda wywołała powszechne oburzenie przeciwko tym właśnie ludziom, nie przeszkodzi to wszelako sir Arthurowi do obsadzenia posad ludźmi, którzy niecnym czynów swoich nie tają.

Opinia publiczna we Francji wzburzoną jest z powodu sposobu prowadzenia kampanii afrykańskiej. Do powszechnego

niezadowolenia przyczyniło się postanowienie zatrzymania rekrutów z 1876 r. dla dopełnienia niemi batalionów, w skład armii afrykańskiej wchodzących. Postanowienie to sprzeczne jest z tem, co w czasie wyborów głosili prefekci. Obiecywali oni mianowicie rozpuszczenie powołanych natychmiast po ukończeniu manewrów. Co więcej, dla uspokojenia opinii a raczej dla ułatwienia republikańskich kandydatur, wstrzymano w czasie wyborów wysyłkę wojsk do Tunisu, pomimo rozpaczliwego wołania o pomoc komendujących tam generałów. Tak więc dla stronniczych celów poświęcono zorganizowaną armię i prawdziwe interesa narodu.

Stanowisko też p. Farre, obecnego ministra wojny, jest całkowicie zachwianem. Jeżeli utrzymuje się on jeszcze na stanowisku, to dzieje się to w skutek tego, że nikt ze zdolniejszych wojskowych nie ubiega się o spuściznę po nim. Położenie bowiem jest trudne, odpowiedzialność wielka.

Zamiast zmobilizować część armii, p. Farre postanowił wysłać do Afryki czwarte bataliony, w skutek czego cała armia francuska z wyjątkiem zaledwie czterdziestu pułków zaangażowaną jest w Afryce. Z tego powodu dokompletowanie korpusu ekspedycyjnego jest trudne i równie wiele czasu wymaga co i zgromadzenie go pierwotne.

Bil irlandzki Gladstona nie sprawił spodziewanego skutku. Na ostatnim posiedzeniu reprezentantów ligi, odbytem pod przewodnictwem Parnella, postanowiono trwać w oporze, domagając się całkowitego zniesienia opłaty czynszów, czyli bezwarunkowego wydziedziczenia lordów-właścicieli. Zebranie to reprezentantów ligi podniecane było formalnie telegramami z Ameryki, obiecującymi nieograniczoną pomoc materyalną w zamian za wytrwałość w oporze i domaganie się praw, należnych ludności irlandzkiej. Składki też w Ameryce kolosalne przybierają rozmiary, a Anglia w kwestyi irlandzkiej wobec coraz groźniejszego staje nieprzyjaciela.

Tym kłopotom wewnętrznym przypisać należy, że kwestya egipska na teraz rozwiązania się nie doczeka. Anglia widocznie nie czuje się na siłach, potrzebnych do wyzyskania sprzyjających okoliczności.

Podobno też Turcy uczyniono bardzo ludzkie obietnice poparcia dla zajęcia w kwestyi egipskiej wybitnego stanowiska. Obietnice te wyszły od jednego z mocarstw, ubiegających się od lat wielu o ustalenie swego wpływu w Konstantynopolu.

Grecya zajęła już terytoryą, przyznane jej od Turcyi. Okupacya odbyła się spokojnie przy nieopisanym entuzjazmie miejscowej ludności. Usiłowania Turcyi, skierowane są ku zaludnieniu pozostałego jej wybrzeża w Epirze. Zaprojektowano nawet budowę miast nowych. Projekt ten byłby bardzo szczęśliwym, gdyby uwzględnił smutny stan finansów tureckich, o który to szkopuł wszystkie plany reformy w Turcyi zazwyczaj się rozbijają.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Królestwie i Cesarstwie daje się czuć dotkliwie brak miejsc dla uczniów w różnych zakładach naukowych.

— Sekta baptystów w guberniach nadbałtyckich zyskuje coraz więcej zwolenników między lotyszami.

— Emigracya żydów z Rosyi trwa ciągle; niedawno przez Brody wyjechało do Ameryki 135 żydów rosyjskich.

— W guberniach litewskich i ukraińskich, w miejscowościach zamieszkałych przeważnie przez żydów

uorganizowane zostały specjalne komisje dla zbadania środków, mających na celu uregulowanie stosunków żydowskich na drodze prawodawczej.

— Komisja petersburska dla obmyślenia środków przeciwko pijaństwu rozpoczęła już swe posiedzenia.

— W gub. Mińskiej liczba tak zwanych roskolników bezpopowców wzrasta nieustannie.

— Mają się odbyć dwa kongresy wolnomyślicieli, jeden w Paryżu od 18—22, drugi w Londynie od 25—29 września.

— Ministerium sprawiedliwości opracowuje projekt reformy sądownictwa gminnego w Królestwie Polskim.

— Projekt nowego domu obłąkanych we wsi Tuwskach pod Pruszkowem otrzymał zatwierdzenie rządu.

— Dyrektorzy teatrów w Konstantynopolu podali prośby przez dyrektora policyi do sultana o pozwolenie uczęszczania kobietom do teatru; prośba pozostawiona została bez skutku.

— Z powodu częstego zadawania sobie kalectwa przez żydów, w celu uwolnienia się od służby wojskowej, wydano rozporządzenie, aby ich pomimo kalectwa wciągać do służby niefrontowej.

Szkoły i uniwersytety. P. Gregorowicz wykładać będzie jako prywatdocent w uniwersytecie warszawskim część procedury karnej *O wykonywaniu kar*.

— Akt uroczysty w uniwersytecie warszawskim odbył się w d. 11 września. Odczytano doroczne sprawozdanie i wymieniono nazwiska studentów nagrodzonych medalami i pochlebami wzmiankami za prace konkursowe. Wykłady w tutejszym uniwersytecie rozpoczęły się 17 września.

— W drugim gimnazjum w Odessie mianowany został jedyny obecnie urzędowy nauczyciel religii karaimskiej p. Kokej.

— Opłata od pensjonarzy w warszawskim Instytucie dla głuchoniemych, podniesiona została obecnie z rs. 150 na rs. 200.

— Katedrę chemii w uniwersytecie warszawskim po zmarłym profesorze Popowie obejmuje p. Sokołow.

Przemysł i handel. Na zgromadzeniu ogólnem drogi żelaznej Iwagrodzko-Dąbrowskiej wybrani zostali do zarządu: pp. Wielopolski, J. G. Bloch, Rau, Aleksander Goldstand i Stanisław Karski, na zastępców pp. August Ostrowski, Rodryg Potocki i Władysław Laski.

— Budowa kanału, mającego połączyć morze Bałtyckie z Północnem została, ostatecznie postanowiona. Kanał połączy ujście rzeki Elby z zatoką, nad którą leży m. Kiel.

— W Dorpacie otwartą została druga wystawa przemysłowa z bogatym działem naukowym.

Rołnictwo i ogrodnictwo. Na wystawę ogrodniczą zapisała się już znaczna ilość wystawców, bo blisko 200.

Literatura polska. *Gazeta sądowa* warszawska rozszerza swój program. Pomieszczać będzie prace prawnohistoryczne i życiorysy znakomych prawników.

— *Biblioteka najcenniejszych utworów literatury europejskiej* za m. sierpień zawiera: „Dzieje literatury powszechnej“, „Uskokki“ powieść Jeża, „Francya przed rewolucyą“ Taine'a, „Komedy wybrane“ Lope de Vegi i „Pieśń o Nibelungach“.

— *Encyklopedyi wychowawczej* wyszedł zeszyt 8-my tomu II-go i zawiera wyrazy od „Bibliografii pedagogicznej“ do „Borawskiego Leona“.

Literatura niemiecka. Denk. *Die Fabrikation der Flocken- und Perlstoffe*.

— Dürre. *Die Anlage und der Betrieb der Eisenhütten*.

— *Forschungen auf dem Gebiete Agrikulturphysik*.

— Frauenholz. *Das Wasser* mit Bezug auf wissenschaftliche Aufgaben der Gegenwart.

— Jarolimek. *Gesteins-Drehbohrmaschine*.

— Knaebel. *Handbuch für Fabrik und gewerbliche Baukunde*.

— Lauche. *Deutsche Pomologie*.

— Reiche. *Die Untersuchungen an Dampfmaschinen und Dampfkesseln*.

— Thaer. *Die landwirthschaftlichen Unkräutern*.

— Wirth. *Die Krisis in der Landwirthschaft und Mittel zur Abhülfe*.

— Zetzsche. *Handbuch der elektrischen Telegraphie*.

— *Abhandlungen der mathematisch-physikalischen Classe der k. bayerischen Akademie der Wissenschaften*.

— Buchner. *Ferdinand Freiligrath*, ein Dichterleben.

— Scherer. *Geschichte der deutschen Literatur*.

— Schreyer. *Goethes Faust* als einheitliche Dichtung erläutert.

— Wiskowatow. *Geschichte der russischen Literatur*.

— Cless. *Das Ideal der Menschheit*.

— Zahn. *Die natürliche Moral*.

— Warnstorff. *Die europäischen Torfmoose*.

— Arlt. *Klinische Darstellung der Krankheiten des Auges*.

— Beitrage zur *Naturgeschichte der Vorzeit*.

— Scheffler. *Die Naturgesetze und ihr Zusammenhang mit den Prinzipien der abstrakten Wissenschaften*.

— Thierfelder. *Atlas der pathologischen Histologie*.

— Vogt. *Der alte und der neue Impfglaube*.

— Stoepel. *Die freie Gesellschaft*, Versuch einer Schlichtung des Streites zwischen Individualismus und Socialismus.

— Walcker. *Die Arbeiterfrage* mit besonderer Berücksichtigung der deutschen Hwerbevererne.

— Warneck. *Das Prinzip der politischen Gleichberechtigung* und die modernen Emancipationsfragen.

— Arendt. *Technik der Experimentalchemie*.

— Bronn. *Klassen und Ordnungen des Thier-Reichs, wissenschaftlich dargestellt*.

— Brügger. *Beobachtungen über wildwachsende Pflanzenbastarde*.

— Franke. *Die Reptilien und Amphibien Deutschlands*.

— Heppeseyler. *Physiologische Chemie*.

— Tilling. *Von dem Rechte und dem Werthe der Gymnasialbildung*.

— Bluntschli. *Gesammelte kleine Schriften*.

— Ephren. *Vier Zeitfragen* in neuer Behandlung.

— Staats- und sozialwissenschaftliche Forschungen, herausgegeben von G. Schmoller.

— Stein. *Die drei Fragen des Grundbesitzes und seiner Zukunft*.

— Bergmann. *Die Anwendung der Milchsäure bei Geisteskrankheiten*.

— *Deutsche Chirurgie* mit zahlreichen Holzschnitten.

— Eichhorst. *Lehrbuch der physikalischen Untersuchungsmethoden innerer Krankheiten*.

Literatura francuska. Chassietis, *L'instruction publique chez les grecs, depuis la prise du Constantinople jusqu'à nos jours*.

— Challamel. *L'hypothèque judiciaire*.

— Faore Jules. *Discours parlementaires*.

— Fournier. *Essai sur l'histoire du droit d'appel*.

— Gambetta. *Discours et plaidoyers politiques*.

— Bayles. *Les produits commerciaux et industriels*.

— Bouché-Leclercq. *Histoire de la divination dans l'antiquité*.

— Rocquain. *La papauté au moyen âge*.

— Thiers. *Discours parlementaires publiés par Calmon*.

— Van Beneden. *Description des ossements fossiles des environs d'Anvers*.

— Lecomte. *Le Darwinisme et l'expressions des emotions chez l'homme et chez les animaux*.

— Abadie. *Leçons de clinique ophtalmologique*.

— *Nouveau dictionnaire de médecine et de chirurgie pratiques*.

— Lanessau. *Manuel de l'histoire naturelle medical*.

— Luys. *Traité clinique des maladies mentales*.

— Voillunier. *Traité des maladies des voies urinaires*.

— Vovard. *De la grippe, sa pathogénie*.

Literatura angielska. Bell, *Arnold educational reformer* dr. Andrew Bell.

— Burke. *Letters, Speeches, and Tracts on irish affairs*.

— Routh. *The law of artistic Copyright*.

— *A Police Code and Manual of criminal Law*.

— Fitzgerald. *Australian Orchids*.

— Haslam. *Conic Sections treated geometrically*.

— Judd. *Volcanoes, what they are, and what they teach*.

— Balfour. *Treatise of comparative Embryology*.

— Holmes. *A Guide to the Use of the Laryngoscope in general Practice*.

— MacLagau. *Rheumatism, its nature, its pathology, and its successful treatment*.

— Purcell. *On cancer, its allies and other tumours*.

Literatura włoska. Barbieri, *La pedagogia educativa esposta in venti lezioni*.

— Ferri. *I nuovi orizzonti del diritto e della procedura penale*.

— Fornari. *Della comunione dei beni*.

— Grassi. *Le finanze dei comuni*.

— Palma. *Corso di diritto costituzionale*.

— Rossignoli. *L'Italia avvenire* studiata nella generazione presente.

— Schniattavella. *Propedentica al diritto internazionale*.

— Cesati. *Compendio della Flora italiana*.

— Rubini. *Complemento al calcolo infinitesimale*.

— Fiordelisi. *Proutuario popolare di igiene e malattie*.

Literatura rosyjska. Bakunin. *Zapozdajj golos sokrowych godow: Po powodu ženskago woprosa*.

— Szczerbin. *Oczerki jużnoruskich artelej i obszczino-artelnych form*.

Sztuki piękne. Na wystawę obrazów p. Krywulcia przybyły dwa dzieła naszych znakomych malarzy Matejki „Nieszczęśliwe zaloty Olbrachta“ i Siemiradzkiego „Na Caprei za Tyberyusza“.

Teatr. Po raz pierwszy wystawiono w Warszawie w Alhambrze farsę niemiecką zlokalizowaną p. t. *Jak się śmieją i jak płaczą w Warszawie*.

Nekrologia. W Petersburgu zmarł Aleksander Ridiger apostoł spirytyzmu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. W. w Warszawie. Rubryka *Liberum veto* będzie dalej prowadzona, pozwólcie tylko jej autorowi wypłakać się prywatnie, ażeby lzy jego nie przesiąkały w papier publiczny.

Stalej prenumeratorce. Wykazów statystycznych z czasów Kazimierza W. nie znamy, odpowiedź przeto na pytanie Pani jest trudną. Ani Büsching, ani *Starożytna Polska* Ballhóskiego cyfr nie podają.

OGŁOSZENIA.

KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płacą rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

KSIEGARNIA

Nakładowa Bernarda Lesmana.

F. A. LANGE.

HISTORIA FILOZOFII

MATERYALISTYCZNEJ

tlomaczenie

FELIKSA JEZERSKIEGO,

ósmu zeszytu opuścił prasę.

Treść: Siła i materya (dokończenie). — Kosmogonia przyrodnicza. — Darwinizm i Teologia. Nakładem tejże firmy wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach *Jul. Petersena Metody i Teorye rozwiązywania zadań geometrycznych* konstrukcyjnych, tom. z niemieckiego Dr. Karol Hertz, Cena kop. 60.

2—2

Prenumeratory „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.